



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBURG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Nowy-Świat Nr. 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartał. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartał. tal. pr. 1 sgr. 20.

W MIEJSCE POGAWĘDKI.

Nie mówcie mi już o wyższości Anglików, tych ludzi zimnych, wyrachowanych, sztywnych, ciężkich w pracy i ciężkich w zabawie. Serce, fantazja, gorącość dusz u nas tylko, u nas znaleźć można. My jedni tylko umiemy uczynić z pracy zabawę, umiemy przetańczyć i przepiewać to, co by innych do ziemi przytłoczyło. Przetańczujemy nieraz i przepiewujemy życie całe i lekką nam kiedyś będzie wieczność, lekką historia, lekką pamięć nasza w społeczeństwie. Życie jest tylko wtedy znośne, gdy nie ciąży; sztukę życia ten tylko posiadał, kto je lekkim uczynić umiał. Dlatego więc nie ciężki Anglik, ale lekki Polek żyć umie. Bawić się, żyć, używać: czyż to nie lepiej niż pracować, iść do świadomych celów i przedzierać się z trudem i bojem przez ten świat lichy, nad którym niewarto nawet poważnie myśleć, zwłaszcza myślą arystokratyczną, się zastanawiać?

Komu Bóg środków odmówił, ten niech się jeszcze biedzi i trzusi; ale kto ma środki w formie wielkiego majątku i pięknego imienia—ten waryatem byłby, gdyby sobie przez świat nie przeszedł, jak przez jeden wielki pokój bawialny, i pozwolił sobie majaczyć o jakichś tam obowiązkach, celach i trudach. Niech się hałastra pora z życiem; niech biedni myślą i pracują, oświecają się i wznoszą w górę: szczęśliwi, których los od razu w górę umieścił, życie mogą już zastąpić użyciem. A więc hulaj dusza! Gdy się zdarzy sposobność, niechaj fantazja, serce, gorącość duchowa—wynoszą nas nad Anglików, granic już nie zna! Życie jest tak krótkim, a młodość tak prędko przemija! Bawmy się więc i skaczmy. Niech pamięć o nas lekką będzie. Precz z morałami!

Jeden drugi dziennikarz—chudzina jakiś, piszący codzień po tyle a tyle groszy za wiersz;—jeden drugi myśliciel—pedant stawiający martwe myśli swoje w miejsce żywego życia—powie, że wielki majątek, piękne imię, są tylko fideikomiszem, powierzonym przez przeszłość dla przyszłości; że żyć, jest to przedzierać się przez gęste, kłoczaste zarośla, przez knieje dla wielu niedostępne, przez przepaści i strome wierzchołki; że jedynym wykładnikiem stosunku jednostki do społeczeństwa jest obowiązek; że co się nie wznosi, to upada, co nie pracuje, to martwieje, co się nie pomaża, to ginie; że młodość powinna być porą siewu i bogacenia się, aby wiek dojrzały nie był porą chwastów i ubóstwa; że arystokracja w Anglii dlatego tak wielkie ma znaczenie, iż jest pierwszą w narodzie, nie tylko przez imiona i majątki, ale przez oświatę, cnotę i pracę społeczną; że na koniec Historia przechodzi do porządku dziennego nad tymi, którzy żyją bez myśli o niej. Wiele jeszcze innych rzeczy powiedzieć—by mogła każda istota patrząca w życie, z jakimś takim zastanowieniem. Ale na co to wszystko? Prawda przejdzie mimo uszu i tylko niesmak po sobie zostawi. O, jakimże rozdzierającym głosem zawołałby raz jeszcze poeta: „Smutno mi Boże!“, gdyby żył pośród nas!

* * *

Nie mówcie mi już nie o wyższości Anglików, odkąd Plac Ujazdowski w Warszawie stał się widownią wystaw koni, bydła i wszelkiego inwentarza żywego, a wesołe zabawy wielu wystawców dały sposobność, mnie do wystylizowania, czytelnikowi—do nieczytania tego, co wyżej wydrukowano.

Gdyby Anglicy mieli w XIX jeszcze wieku tak liche inwentarze jak my, założyliby niewątpliwie towarzystwo hodowli bydła i koni—towarzystwo wielkie, na cały kraj rozpostarte, milionami obracające, prowadzące działalność swoją ciężko, po-

ważnie, kroczące cierpliwie z roku na rok do coraz większych i lepszych wyników. Towarzystwo to zwróciłoby przede wszystkim uwagę na chów bydła krajowego i starałoby się rasę krajową przez dobrą hodowlę podnieść; działałoby karą, nagrodą, zachętą, pomocą, kredytem melioracyjnym, wszelkimi środkami prowadzącymi do celu, aż ostatecznie postawiłoby na swoim. U nas nie potrzeba takiego zachodu, takich wysiłków i mozolów, jak w Anglii; rzecz odbywa się daleko składniej i łatwiej. My z poprawy inwentarza czynimy sobie dodatek do wyścigów konnych. Bawimy się, gdy się w osobach naszych koni i dzokiejów ścigamy; bawimy się, gdy się za pośrednictwem inwentarza naszych gospodarstw wiejskich o lepsze ubiegamy. Wystarcza nam to, że takie poważne zadanie, jak poprawa użytecznych zwierząt domowych w kraju całym, przyczepionem będzie jako uzupełnienie przyjemności do tak nie-poważnej i niepotrzebnej zabawki, jaką są w każdym kraju do naszego podobnym Wyścigi Konne.

Łatwiej nam przyszło niż Anglikom, łatwiej też przejdzie. Pokażemy światu, wmówimy w siebie, że się chowem bydła zajmujemy, rzeczywiście nie dla tego chowu zbiorowemi siłami nie czyniąc. Wystawy takie, jak tegoroczna, przez pięć lat jeszcze powtarzać się mające, niczego nie dokażą: kto miał rasę krajową ulepszać, tenby ją i bez wystawy ulepszał. Sprowadzając było poprawne z zagranicy. Nagrody nasze i pochwały są tylko miłemi kadzidłami: kiedy tu potrzeba potężnych dźwigni, któreby istotnie stan rolnictwa podniosły. Rozszerzyliśmy tylko sferę przyjemności swoich—nic więcej. Pochlebne zdania, nawet w pismach specjalnych, niczego tu nie stanowią. Lubimy nowosć, upajamy się nią, dajemy zachętę nowym usiłowaniom; ale rzeczywistego pożytku nie przewidujemy, nie spodziewamy się, nie uważamy za wielkość przyszłą, którąby z rachunków teraźniejszości wypaść musiała. Lekkości całego przedsięwzięcia dowodzi mnogość i nie-

racyonalność udzielonych nagród; dowodzi brak poważnych rozpraw, poważnego sądu, na którymby poważnie też, prawdziwie nauczające, sprawozdanie oprzeć można. Wiecie co było najpoważniejszym w całej manipulacji wystawowej? Katalog p. Egera, z wyszczególnieniem warunków hodowli w pojedynczych dominiach. Ale i ten katalog, jakże był, mimo starań redaktora, pobieżnym, niedokładnym, lekkim! Nic dziwnego: rzadko który wystawca wypełnił porządnie nadesłane mu gotowe już schemata. Niedbalstwo i lekkość we wszystkim. Rzeczywiście oddajmy sobie sprawiedliwość: nie jesteśmy w niczem do Anglików podobni.

Wystawa, otwarta w d. 12, zamknięta w d. 23 Czerwca, była zarazem wystawą niedorzecznego zbytku i występnego marnotrawstwa. Widzieliśmy tam konie i rzędy, uprzęże i przybory, faetony i karety, szarabany i amerykański, samych nawet stangretów, ze wszystkich stron świata: z Wiednia, Paryża, Londynu, Bóg wie nie z kąd. Tak się bawia szczęśliwi, urodzeni w górze, którym zostało tylko — na dół upadać, bo wznieść się już wyżej nie mogą. Niech wie świat, niech wie przynajmniej lud warszawski, jakich-to panów jeszcze mamy u siebie. Stangret jeden z Francji, drugi z Irlandji, trzeci z Niemiec; wszyscy milczący jak na lordowskie sługi przystało; jeden drugiego nie rozumie, jeden do drugiego nie przemówi słowa. Ludek gapi się i podziwia szyk prawdziwy i pańskość nieprzebraną. Serce wystawcy rośnie: trzeba imponować, czem można. Zostać wielkim w życiu przez wielkie czyny: nie sztuka; ale tak dojść odrazu do wielkości tanim kosztem: w tem mądrość.

Mój Boże! Ile razy patrzę na takie zbytkowanie i marnowanie mienia ojcowskiego, zawsze przypomina mi się pewna historia z przed pół wieku. Bohaterem jej jest D.... w Płockiem. I ten pan także odziedziczył był wielką fortunę po rodzicach — i on także trzymał u siebie stałą kapelę, wspaniałe cugi, i on sprowadzał sobie codziennie gości z Warszawy, i on wydawał rocznie na samo wino — w tamtych czasach — czterdzieści tysięcy złotych, i on czynił sobie ze świata naprzemiany salon i karczmę, a z życia wiekuisty karnawał... I wiecie gdzie umarł? Literalnie w karczmie — co podobnego jak Ł. w *Pamiętnikach Wilezka* wspomniany, a do zeszłego jeszcze wieku należącego. *Deus mirabilis fortuna mutabilis.*

Zacierali ręce redaktorowie pism, zbierający grosz na pomnik Mickiewicza; cieszyli się w duchu i mówili sobie: „Chwała Bogu, szlachta, panowie, optymaci, ludzie dawni, a żadni tam *novi homines* na „berg“ i „stein“, zjadą do Warszawy: wielki wieszcz narodu będzie miał pomnik godny siebie. Wstyd byłby prawdziwy, gdyby kilkudziesięciu tysięcy nie złożono“. Radował się zarząd Muzeum Przemysłowego, że urządzona przezeń wystawa okazów przemysłu pięknego, tłumnie nawiedzana, powróci w zupełności wyłożone na nią kosztą. Radował się p. Gebethner Felix, że wystawa w Resursie Obywatelskiej złożona z jego własnych obrazów współczesnych malarzy polskich zwabi liczną a wyborową publiczność i dozwoli osiągnąć cel zacnie wytknięty. Radował się mój przyjaciel Bolesław Pruss, pierwotwórca kasy pożyczkowej dla rzemieślników, na którego gorące przemówienie prawie wyłącznie dotychczas Warszawa złożyła już przeszło ośmdziesiąt tysięcy złotych. Radowali się księgarze i właściciele wystaw sztuk pięknych. Rzeczywistość wszystkim sprawiła niespodziankę. Na pomnik Mickiewicza nie, czytacie „nie“ — nie wpłynęło; na kasę pożyczkową wyzebrano coś w ostatniej chwili z jakiejś miłosiernej loteryi czy kwesty; wystawy były puste; księgarze stali z założonemi rękoma. Nie próżnowali tylko restauratorowie i winiarze....

I p. Salamonsky. Nie lubimy muzyki, nawet w pobliżu Placowi Ujazdowskiemu Dolinie, ale dla nóg wszelkiego rodzaju nie zbraknie nam nigdy zapachu. Coś nas zawsze ciągnie do cyrku: to wzgląd na dzieci, potrzebujące zabawy, to miłe lenistwo ducha, który na przedstawieniach cyrkowych wygodnie spać może. Dla cyrku znajdujemy w sercach hojność i miłosierdzie, jakich nie mamy dla Mickiewicza i dla stanu rzemieślnicze-

go. Gdy jaką cyrkową damę spotka dymissya, umiemy narazie, lotem błyskawicy zrobić składkę, zakupić konia i dać jeszcze co gotowego grosza do ręki. Mickiewicz zacząć może: jest już podobno dwadzieścia kilka tysięcy guldenów na pomnik; w kraju biednym to wystarczyć powinno. Ciężkie czasy!

W teatrach jeszcze znać było zjazd przednich szeregów narodu; ale więcej pono w ogródkowych niż w prawdziwym.

Taki jest bilans tego letniego karnawału, któryśmy przebyli, a na który złożyło się tyle nadzwyczajności, jak: Wścigi konne i złączona z nimi Wystawa bydła i koni, Jarmark welniany, sztuki magika Bekkera i magnetyzera Donato, obu profesorów, i wielu innych magików i prestidigitatorów bez imienia i profesorów bez professyi....

Warszawa w tej porze karnawałowej dawała obraz wielkiego i szczęśliwego, nad szczęśliwym, bogatym krajem stojącego, miasta. Mijały się powozy jeden od drugiego piękniejsze; stroje wspaniałością dorównywały tym, od których jaśnieje Lasek Bułowski. Krakowskie-Przedmieście zadawało kłam owej ohydnej, przed laty wypowiedzianej nadziei, że pomiędzy jego kamieniami, na powykrecanym bruku, trawa rosnąć będzie. Żyłoby wszystko, wrzało, kipiało; ale to tylko pozory, szumowiny, złuda życia: życie samo ciężkie jest i jego prawa i obowiązki, jak straszne *memento* wiszą nad głowami naszymi.

* * *

Od dnia 14 Czerwca mamy w Brühlowskim Pałacu „Wystawę sztuki zastosowanej do przemysłu“. Tak ją nazwano; mnie właściwszą wydawałaby się nazwa „Wystawy zabytków przemysłu pięknego w Europie, nagromadzonych w kraju naszym“: tytuł dłuższy, ale prawdziwszy. Wystawa ta otwarta będzie jeszcze tydzień: kto więc nie widział, niech śpieszy. Jest tam mnóstwo rzeczy ciekawych, kosztownych i pięknych. Wystawa, jeżeli nie dowodzi zamilowania piękna, przejawiającego się nawet w stosunkach codziennego życia, dowodzi tego, że nie wszystko jeszcze po przodkach zmarnowano, nie wszystko wydano na łup Anglikom, Francuzom i Niemcom. Ten Zachód bowiem niezmiernie jest chciwym na piękno. Zaraz w pierwszych dniach wystawy krzątali się po niej agenci upatrujący najcenniejsze sztuki dla wzięcia ich na cel. Opowiadają, że za monstancją gotycką archidiecezyi warszawskiej — dzieło wspaniałe z XVI wieku, wyrób bawarski — jeden z polujących dawał 20,000 rs.; za srebra hr. Platera ofiarowano wagę złota i kubek w kubek takie same, odtworzone z oryginałów, przedmioty; jedną tackę srebrną, przesłicznie rzeźbioną, z niewymownie pięknym owalem, ceniono na 3,000 rs. Gobelin hr. Ludwika Krasińskiego jest bezzaprzeczenia jednym z najcenniejszych w całej Europie. Pięknych rzeczy na wystawie, którą zawiązujemy zabiegliwości Muzeum Przemysłowego, jest tyle, że wyszczególnianie najwybitniejszych tylko za wiele-by tu miejsca zajęło. Czytelnika odsyłamy do umyślnego opisu, który zapewne wkrótce już ukaże się w *Bluszczu*.

* * *

Kasy pożyczkowe dla rzemieślników przeszły już ze świata pomysłów i chęci do świata rzeczywistości i czynu. Obywatelska myśl Prussa rozwija się już i działa w życiu. Przy Towarzystwie Dobroczynności zorganizowała się osobna sekcya, mająca kierować pożyteczną instytucją. Fundusz, na początek nieznaczny, zwłaszcza, że nie zerwano jeszcze z arcy-niestosowną myślą, aby każdy cyrkuł posiadał odrazu swą kasę; ale miejmy nadzieję, że w przyszłości jeszcze pomnożyć się może, i na rzeczywiste potrzeby wystarczy. W każdym razie początek zrobiony. Nie chcę przyjacielowi memu stawiać pomnika za życia; ale nie widziałbym w tem bynajmniej pochlebstwa i pychy, gdyby nowe urzędy opiekuńcze dla rzemieślników nazwano *Kassami Bolesława Prussa*.

Valet!

W LESIE.

Serce, biedne serce moje!
Te żelazne, rdzawe zbroje,
Te oponów starych zwoje,
Jak ci każą bić!....
Ze łzą, drżącą pod powieką,
Chcę gdzieś uciec — precz, daleko,
Za dziesiątą górą, rzeką
Ukryć się i śnić....

Poszła dziewczyna w ciemny las,
A był to cichy, parny czas;
Wietrzyk nie tykał listka drzew,
Skrytych gdzieś ptaszat umilkł śpiew,
Ledwo, że czasem cyknie dźwięk,
I słychać muszek głuchy brzęk

Dziewczynę chwyta dziwny strach;
W koło niej niby wielki gmach:
Kolumn bez końca płynie rząd.
Zda się król tylko wyszedł ztąd,
Lecz lada chwila wróci znów,
Dwór swój przebudzi z cichych snów,
Z zaczarowanych wyrwie dum. —
Pań i rycerzy wstanie tłum:
Będą iść, wlekąc fałdy szat;
Przodem królowa — lilii kwiat —
W złotej koronie będzie iść.
Dziewka pod sosną drży, jak liść,
Bo nuż tu dojrzy ją czyj wzrok?
Nuż ku niej biednej zwróci krok,
Pytając, czy jest z Piasta cór,
Że na królewski przysła dwór?

Ale coś drgnęło wpośród łoż,
Wzruszyło długie kosa brzoź.
Dziewczyna patrzy. — Boże mój!
Kto tak tych chmieli splątał zwój,
Na olszynowy rzucił krzak,
Z białym powojem zmołał tak?
Poza tą olchą — ona wie —
Srebrnej się wody strumień rwie,
Dołem pod górką czyni krag,
Na smug zielonych śpiesząc łak.
Lecz na tej górze, jak on chmiel,
One powoje, brzoź tych biel,
Czy tam nie ogród czyj, nie sad?
Czasem po rosie widać ślad,
Jakby ktoś świtem ziele rwał,
Ze strużki wodę sobie brał....

Czy nie boginka jaka jest,
Co tam nasiała drobny rdest,
Jaskrów, dzwoneczków wielką moc,
Nasiała w którą ciepłą noc?
Dziewczyna patrzy w gąszczów głąb:
Na górze stoi stary dąb,
Środkiem na górze stoi sam.
Pewno boginka mieszka tam:
We pniu dębowym dom ma swój,
Z mglistych rąbeczków szyty strój,
W słonku kapany złoty włos.
Gdyby tak nagle rzekł jej głos:
— Chodź-no sam Maryś do mnie, chodź!
Pszczołki na łąkę ze mną wódz,
Pajęczą kądziel ze mną prządz,
Boginką w starym dębie bądź....

Gdyby tak nagle rzekła....

Ach!...

Dziewczynę znowu chwyta strach:

To chce uciekać, to jej żal.
Wtem zahuczała leśna dal,
Czy to nie jaki żubr, nie łoś?
Nie—na koniku jedzie ktoś....

Dziewczynie raz się husarz śnił,
W złocistej zbroi cały lśnił,
U ramion orle skrzydła miał.
Wspaniały rumak pod nim rżał,
Od boku krzywy spływał kord.
Pogromca dzikich Azyi hord
Na pole sławy śpieszył tak...
Dziewka się płoni, niby mak,
Niby skąpana w blaskach zórz,
Bo tentent coraz bliżej już,
Konia i jeźdźca ujrzy wzrok....

Lecz cóż-to?... Zali wziął się w bok?
Dróżką na lewo wziął się wstecz,
I gdzieś ujechał lasem precz?

Dziewczynie krasa niknie z lic,
Nie widzi w ciemnych gąszczach nic,
A serce ściska nagły ból.—
Wie gdzie zaklęty mieszka król,
Kędy boginki ogród jest:
Różowo kwitnie drobny rdest,
Jaskrów, dzwoneczków wielka moc,
Siane tam w którą ciepłą noc,
Lecz to na wieczny skryte czas:
Kto taki jechał przez on las?

Może to właśnie on był!... on!
W marzeniach cichej nocy śnion:
W szyszaku, w zbroi złotych blach.
Jej-by nie przejął teraz strach,
Nie chwycił żaden serca lęk....
Słyszac rycerskiej stali brzęk,
Rzekłaby tylko:—Woj! stoj!...
Czy ty na święty śpieszysz bój?
Czy ty miecz stary z krzyżem masz?
Chrystusowego hufca straż,
Do Carogrodu gonisz bram?
Niech choć koniowi wody dam,
I drogi twojej znacząc ślad,
Pod stopy wonny rzucę kwiat.

On przecież, słyszac głos tych słów,
Rzekłby jej:—Pacierz cichy mów....
Gdy ja na krwawy pola łan,
Pójdę w śmiertelny z wrogiem tan,
Ty, dziewczko, ręce w górę wznos,
I łaski Bożej dla nas proś....

Ale las w koło cichy już,
Tylko gdzieś w dali kłębi kurz;
Złoty w nim promień światła drga,
A wzrok dziewczyny mroczy łza....

PRELUDYUM SZOPENA

OBRAZEK DRAMATYCZNY W JEDNYM AKCIE

oryginalnie napisany

M. Gawalewicza.

OSOBY:

Laura.
Ewa.
Ludwik.
Daniel.

(Rzecz dzieje się na wsi).

SCENA I.

(Scena przedstawia salon bardzo gustownie urządzony, w głębi dwa okna, drzwi do ogrodu, drzwi po bokach, po prawej fortepian; zmrok, scenę oświetla duża lampa na fortepianie stojąca, przyćmiona umbrellką, jedno okno otwarte).

Laura. — Daniel.

(Po podniesieniu kurtyny Laura gra czas jakiś Preludyum A dur z wielką expressją; Daniel stoi u otwartego okna w głębi i słucha.—Chwila milczenia).

Daniel (wpadając w takt melodyi, zaczyna deklamować):

Leżę na obłoku
Roztopiony w ciszę,
Mgłę mam senną w oku,
Oddechu nie słyszę;

Fiołkowej woni
Opływa mnie morze,
Dłoń złożywszy w dłoni,
Lecę, płynę gdzieś....

Nie wiem, gdzie, czem jestem,
Czym anioł na poły?
Bo z cichym szelestem
Migają anioły.

Chyba Bóg określi
Moją słodycz.... (Uywa nagle).

Laura (grając dalej)

Zapomniałeś pan końca?

Daniel (hamując wzruszenie)

Tak—zapomniałem....

Laura

To ja pana wyręczę: (deklamuje przy muzyce)

Chyba Bóg określi,
Moją słodycz—Boże!
Ach, nie zbudź mej myśli,
I serca nie wskrzesz!....

(gra jeszcze czas jakiś, potem w pianissimach kończy preludyum i zamyśla się; Daniel patrzy na nią przez chwilę, zbliża się powoli i staje obok fortepianu).

Daniel (powtarza przyciszonym głosem)

Ach, nie budź mej myśli i serca nie wskrzesz!

Laura (budząc się z zamyślenia)

Co pan mówiłeś?

Daniel

Nic, powtórzyłem prośbę poety. Ma słuszość: kiedy myśl śpi i serce śpi, życie jest lekkie, jak sen; tylko że tak: „dobranoc“ sercu powiedzieć nie łatwo. Czasami przymknie oczy i udaje, że usnęło.

Laura

I po co?

Daniel

Aby ludzić siebie i drugih.

Laura

Czy to dobrze?

Daniel

Dobrze, jeżeli tak być musi.

Laura

Ach, bolesnym jest wszelki przymus, a najboleśniejszym przymus serca.

Daniel

Prawda....

Laura

Tak mi się zdaje; sama nie potrzebowałam tego nigdy doświadczać. Wolno mi było kochać i być kochaną....

Daniel

A to już wielkie szczęście na ziemi; bardzo wielkie!

Laura

O tak! (zaczyna pierwsze taktę Preludyum).

Daniel

Jak widzę, Szopen jest zawsze prawie pani ulubieńcem; grasz go z temsamem zamiłowaniem, co niegdyś za czasów panińskich.

Laura (przegrywając sobie)

Niestety! odkąd poszłam za męża, odkąd się zaczęły moje obowiązki gospodarskie, macierzyńskie,—nie uwierzysz pan, jak zaniedbałam muzykę. Rzadko kiedy siadam teraz do fortepianu. Nie mam czasu.... Poczciwy Łudek gani mi to ciągle; ale cóż robić? Przyznam się panu, że tak spoważniałam w mojem nowem powołaniu, iż nie poznałbyś we mnie owej dawnej panny Laury, która przepadała za Lenartowiczem i Szopenem. Dzisiaj, kiedy mam wolną chwilę, wolę się pobawić z moją Misią i prowadzić z nią poważne dysputy o jej lalkach, lub rozkoszować się jej figlami. Kochane moje dziecię!.... Żebyś pan widział, jak ją do snu układają; co to za psoty wyprawiać umie; jak się to przekomarza, układa, zbytkuje! „Uciesznym błazenek!“—jak ją Ludwik nazywa. Ale ja panu o tem mówię z całem samolubstwem matki, zapominając, iż dla kawalerów to ani zajmujący, ani zrozumiały temat do rozmowy.

Daniel

O proszę, mów pani.... Po trzech latach niewidzenia się każdy temat jest dla mnie równie zajmującym, jeżeli tylko pani i Ludwika dotyczy.

Laura

Alboż to już trzy lata minęły, odkąd pan opuściłeś kraj?

Daniel

Tak, tak!—zaraz po pani ślubie.... trzy lata minęły, jak trzy dnie; wróciłem ten sam, tylko tu się wiele zmieniło.

Laura

Jakże pan chciał?.... Trzy lata: to kawał czasu. Patrz pan na mnie: co się ze mną stało!.... Ani przypuszczałeś zapewne, że się tak zmienić mogę.

Daniel

Rzeczywiście, cieszy mnie tylko, że ta zmiana tak pod każdym względem wypadła korzystnie.

Laura

Łudek mój narzeka, że się starzeje tu na wsi; powiada, że na naszych błotach zarzewieje, jak stara strzelba. Ot, z panami trudno zawsze dojść do ładu! Żle wam w małżeńskim, źle w kawalerskim stanie....

Daniel

Ja się nie skarzę; z moją wadą sercową żyję jak na popasie i czekam tylko, kiedy śmierć zaprzęgnie konie do karawanu.

Laura

Co też pan mówisz, panie Danielu!— Jak można w takich razach żartować!

Daniel

Lepiej żartować, niż martwić się i słuchać tego, co łađa chwila przyjść może. Zresztą o mnie mniejsza; starych kawalerów nie braknie na świecie, a dla mnie do małżeństwa wszystkie rogatki pozamykane. Nie śmiałbym wziąć żony, aby z niej niespodzianie zrobić wdowę i na ślubną suknę może zarzucić od razu żałobę.

Laura

Dlaczegoż zaraz takie przypuszczenia?

Daniel

To nie przypuszczenia, pani, to wyrok poparty powagą lekarzy.

Laura

Ach, nie mówmy o tem.... to przykre.

Daniel

Zapewne.... Więc powiadasz pani, że Ludwik....

Laura

Skarży się na pobyt na wsi; nudno mu tutaj; i ja się nawet nie dziwię. My, kobiety, w czterech ścianach domu męża zamknąć umiemy cały nasz świat; wy, panowie, tego nie potraficie. Wam, jak orłom, ciasno w domowych klatkach, choćby o złoconych szczeblach. Potrzebujecie przestrzeni!

Daniel

Czyżby i Ludwikowi już było za ciasno?

Laura

Nieinaczej: sąsiedztwa nie mamy, towarzystwa, oprócz xiędza proboszcza i przypadkowych gości, jak pan—żadnego, o! żyjemy jak na pustyni. Cóż dziwnego, że Ludwikowi, przyzwyczajonemu do wielkiego miasta, do gwaru, ruchu, zabaw, nudzi się w takiej pustelni! Ja sama, gdybym nie miała, domu, dziecka i.... męża, zaziewałabym się chyba z nudów.

Daniel

A przecież Ludwik ma także dom, dziecko i.... żonę.

Laura

Ba! dla mężczyzny—to co innego.

Daniel

Nie spodziewałem się po pani tak pobłażliwych pojęć o naszym rodzie. Wyznam wszakże, iż to nie bardzo bezpieczne przekonania dla żony.

Laura

Dlaczego?

Daniel

Dlatego, że mąż mógłby ich nadużyć

Laura

Może, ale nie *mój*.... Ludwik jest wzorem wier-

nych mężów, a choć trochę kaprysi, choć czasami poziewa—nie pomyśli nawet o nadużyciu wolności.

Daniel

Wistocie?... cóż pani taką pewnością nadaje?

Laura

Co?... on sam. Wiem, że jest człowiekiem szlachetnym, że poślubił mnie tylko z miłości, że nigdy nie zawiódłby mego zaufania; ja mu wierzę: to dość. Moja wiara jest dla niego tarczą, o którą każde pokuszenie musiałoby się rozbić. Jestem spokojną i szczęśliwą....

Daniel

Chwała Bogu!

(Dalszy ciąg nastąpi)

SAMA JEDNA

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Podróżując, zaglądano do wiejskich kościółków, do muzeów prowincjonalnych, wszędzie, gdzie było coś do widzenia; a we Włoszech, do oglądania znajdzie się w najniepozorniejszym kącie jakaś rzecz zastanowienia godna: obraz, rzeźba, fresk, ruina.

Sitko oddawna się nie czuł tak ożywionym i szczęśliwym, jak w tej podróży, chociaż dwaj towarzysze niewiele mu się własną wolą kierować pozwalali. Szedł za nimi posłuszny, z ociężałością człowieka, który się prowadzić daje, bo mu się myśleć samemu nie chce, a wybór tego, co ma widzieć—niewiele serce rozgrzewa. Prawdę mówiąc, celu w tej podróży nie miał stale oznaczonego; szedł, aby się rozzerwać, coś zobaczyć i zmienić trochę jednostajne życie.

We Florencji towarzysze jego zamierzali wypocząć czas dłuższy; każdego z nich inne jakieś powoływały studia: Sitko więc pozostał sam, zostawiony własnej woli, i wieczorem tylko schodzili się razem w małych *camere mobiliate*, które sobie najęli.

Prosper błądził po mieście, stając, zachodząc, gapiąc się z naiwnością dziecięcia i ociężałością starca. Część dnia spędzał w długich kurytyarzach galerii, rozpatrując się w posągach rozstawionych; potem wychodził za miasto, lub odpoczywał w ogrodach i przechadzał się wzdłuż *Cascine*.

Jednego tak dnia bezmyślnie skierował się drogą ku Fiesole. Sitko, obyczajem swym rzymskim, odziany był jak włoski robotnik prosty, którego przejął obyczaj. Wytarty aksamitny przyodziełek, zszarżany kapelusz stary, niedbale zawiązana chustka, przygarbione plecy, twarz opalona, z ciężkością dozwalały go odróżnić od tego pospolitego ludu, na który nikt w ulicy nie patrzy.

Sitko szedł zadumany, gdy na przedmieściu spostrzegł przed sobą przesuwającą się krokiem dosyć żywym kobietę, która, przechodząc, parę razy nań spojrzała i—stała, jakby zdziwiona.

Była to osoba lat średnich, skromnie ubrana, z twarzą młodą jeszcze, choć strój, niewykwintny, świadczył, że ani o swą piękność, ani o zachowanie młodości resztek nie dbała. Niosła pod ręką tekę; szła żywo.

Sitko, ujrawszy ją—osłupiał. Wprawdzie zmieniła, inną, lecz—omylić się nie mógł, — ujrzał przed sobą tę, którą miał za straconą. Oczom swoim wierzyć nie chciał. Była to Ludmiła.

Dziesięć lat życia nie zmieniły jej tak bardzo, by piękność dawną z twarzy, teraz uspokojonej, pogodnej, poważnego wyrazu — starły bez śladu.

Bolesć tylko i gorączkowe rozbudzenie, jakie się w Paryżu malowały w jej rysach, znikły, ustępując miejsca, jakiemuś smutkowi stęzałemu, zamarłemu—można było powiedzieć: zespolonemu z życiem i przejednanemu. Zarazem siła i wiara w siebie nadawały jej charakter nowy. Coś męskiego, właściwego kobietom, które same sobą rządzą i bez wszelkiej się obywać opieki, ruchy śmiały, postawa swobodna—różniły ją od dawnej panny Ludmiły, którą znał Sitko. Ale—ona to była. Prosper był pewien, że się nie myli.

Daleko trudniej pewnie w tym pracą zahartowanym, ale zarazem zużytym człowieku, poznać można było Sitkę, zwłaszcza odrodzonego spadkiem i odżywionego pobytem w Paryżu. W tym stroju włoskiego robotnika możeby go też i nie poznała Sciborzanka, gdyby widok jej nie sprawił był na tym zgarbionym i opuszczonym człowieku takiego wrażenia, iż mu nawet dawną fizyognomię przywrócił.

Panna Ludmiła, mająca już iść dalej, zatrzymała się zdziwiona i wykrzyknęła radośnie, widząc go żywo przybliżającego się ku sobie.

Prosper szedł zaniemiały ku niej, drżący, i zdjawszy swój pomięty kapelusz zdala, spieszył aby mu nie uciekła.

— Panna Ludmiła! — zawołał — o Boże miłosierny, tu!

— Ale wy, zkądże tutaj? jakim sposobem?

— Ja? — wołał drżącym głosem Sitko. — Ja od lat dziesięciu jestem we Włoszech, przypadek, szczęście mnie tu przywiodło jakieś, abym panią raz jeszcze w życiu zobaczył!

I chwyciwszy rękę jej w swe zamulone dłonie, trzymał, wpatrując się jej w oczy. Ludmiła smutnie patrzała na niego.

— Dobry mój przyjacielu—zawołała. — Gdzieżeś był? w jakich Włoszech?—mów.

— W Rzymie, ani krokiem nie ruszając się z niego—odparł Sitko.

— No—a teraz?

— Puściłem się na wędrowną. Ale pani? pani? Ludmiła z uśmiechem i poruszeniem ramion odezwała się, blizki dom wskazując.

— Jesteśmy o trzy kroki ode mnie—chodź.

Sitko na swój biedny strój spojrział: wstyd mu się było zaprezentować tak odartym, a lękał się stracić tak cudownie znaną.

Ludmiła szła już przodem, Sitko za nią.

Dom, do którego wprowadziła go, był stary i niepozorny, o jednym piąterku, niewielki. Mały ale cienisty ogródek i warzywne jakieś zagony, wśród których kwiaty widać było, otaczały go dokoła. Na jednej ze ścian rozpięte gałęzie cytrynowego drzewa okrywały ją całą i wśród zielonych liści gdzieniegdzie żółtymi owocami pobierane były.

Stara sługa stała właśnie we drzwiach, rozglądając się i jakby oczekując na kogoś. Zobaczywszy Ludmiłę, uśmiechnęła się ku niej i pośpieszyła, o ile jej nogi pozwoliły, aby tekę wziąć od pani. W domku, oprócz drugiej, równie niepozornej sługi, nikogo widać nie było.

Ludmiła zwróciła się ku idącemu za nią i, ręką wskazując ogródek i domowstwo, odezwała się z pewnym rodzajem dumy.

— Cóż pan myślisz? Przecież przyjmuję go w moim własnym domu, na mej własnej ziemi, pod moim własnym dachem. Tak! Nie jest to wprawdzie owoc mojej pracy, bo tych kilka tysięcy franków, które zapłaciłam za tę kletkę, nadesłała mi rodzina poczciwa, co ostatki naszego mienia ocalała, ale widzisz, że żyję tu jak pani.

Domek był niewykwintny i pochodził z dawnych czasów, gdy budując o wdzięku się nie myślało; zawierał jednak kilka gospodarskich izb na dole i kilka pokoi mieszkalnych na górze. Stary stróż o kiju, wracający z o gródka z brzemieniem pomidorów, przeznaczonych do kuchni, pokłonił się pani u wnijscia. Ludmiła prowadziła na górę zdumionego Sitkę.

Tu była pracownia artystki, jej salonik, sypialnia i parę pokojów z wielkim smakiem w stare sprzęty, obrazy, rzeźby i rozmaite cacka przystrojonych. W tamtych czasach łatwo było jeszcze we Florencji, mieszkając w niej, wyszukać nawet u przekupniów po ulicach za tanie pieniądze

te piękne rzeczy, które dziś wysokiej doszły ceny.

Ludmiła zrzuciła z siebie okrycie i słomkowy kapelusz, a Sitko ujrzał ją teraz w całym blasku tej piękności klasycznej, surowej nieco, którą wiek przyoblekł tylko majestatem i powagą.

Z saloniku widać było pracownię całą, zawieszoną i zarzuconą kopiami z Fra-Angelico, ze starych mistrzów, z arcydzieł galerii florenckiej. Ludmiła wskazała na nią.

— To mój chleb, — rzekła, — stałam się kopiistką z professyi. Mało mam czasu na tworzenie czegoś własnego i ochota mnie od tego odpadła. Nie mogę z siebie dobyć nic oprócz wspomnień mojego ukochanego kraju, a te niezrozumiałe-by były dla wszystkich oprócz mnie. Poddalam się więc konieczności; a że nabyłam wprawy, udało mi się zawiązać stosunki — i dziś prawie o byt swój jestem spokojna.

Mało potrzebuję dla siebie; usługa kosztuje niewiele. Ogródek dostarcza większej części tego, czego nam do życia potrzeba. Czegoż mogę pragnąć więcej?

Uśmiechnęła się, niemego jeszcze Sitkę prosząc, aby usiadł i spoczął. W drugiej izdebce sługa, która się domyślała, że ten niepozorny przybysz miał zostać na obiedzie, przygotowywała już skromną zastawę stołową i niosła ogromny *fiascone* opłatany, bez którego się żaden posiłek włoski nie obejdzie.

Chcąc rozbudzić Prospera, stojącego ciągle w niemem jakimś podziwieniu i myślach — Ludmiła oprowadziła go po swoim mieszkaniu, chwalać się tą własnością. Sitko szedł, oglądał, ale do siebie przyjść nie mógł i nie wiedział może: czy się ma cieszyć, czy smuć.

— Widzisz mnie u brzegu, na lądzie, bezpieczną! — dodała Sciborzanka siadając. — Przewalczyłam wiele, przecierpiałam, oswoiłam się z moim losem i samotnością, na pół Włoszką zostałam. Ale ty, pocziwy, dobry przyjacielu, mów, coś ty robił przez ten lat dziesiątek?

Sitko się powoli rozchmurzał. Pokazał swe zapracowane i szorstkie ręce i rzekł:

— Lepić było napróżno, bom nie stworzyć nie umiał, więc kulem i kuje.

Przepróżnowałem czas długi w kontemplacji arcydzieł, straciłem dużo, musiałem się wziąć do dłuta i młota dla drugich. Zdrowo mi z tem — żyję.

Ludmiła patrzyła nań z podziwieniem i politowaniem. Z dawnego Sitki została jego dobroduszość; marzenia artystyczne, nadzieje — zdawały się w nim, jak w niej, wygasłe. Dla obojga młodości, co ozłaca życie i niesie na skrzydłach ku nieznanemu — nie było już. Sitko czuł się bezsilnym, Ludmiła zwichniętą.

— O mnie to się tam niema co pytać, — rzekł po chwili Prosper, — alebym ciekawym był posłyszeć, jak pani potrafiłaś...

— Uciec od was z Paryża nie było trudno, — poczęła Ludmiła, — miałam sobie wskazaną Florencję. Złamana przybyłam tu z kilkuset frankami, nieznając żywej duszy.

Kilka miesięcy siedziałam w małej izdebce na Borgo Ogni Santi, rozpatrując się w arcydziełach i w wielkim handlu lichych ich naśladowań, których Florencja jest pełną.

Musiałam, pychę z serca zrzuciwszy, zacząć od kopiowania tego, co wszyscy powtarzają, bo to tylko kupują wędrowcy na pamiątkę podróży.

Widząc, że inni kopie wykonywają pośpieszenie, by jaknajtaniej móż je sprzedać, spróbowałam robić nadzwyczaj starannie, pracowicie, sumiennie. Prawdziwi znawcy potrafili odróżnić tandetne wyroby od prac *con amore* wykonanych. Kopie moje powoli zyskały pewien rozgłos.

Zaczęłam je robić akwarellą do albumów angielskich i to mi się powiodło bardzo.

W rok po przybyciu mojem Anglik zamówił u mnie cały szereg obrazów, które przedstawiać miały niby małą historią sztuki, poczynawszy od Giotta aż do mistrzów XVII wieku.

Album to, wprawdzie ocenione było nisko, lecz natychmiast po ukończeniu go, zamówiono u mnie podobne za podwójną cenę. Zjeżdżałam sobie imię bardzo sumiennej reproduktorki.

Jeden z handlujących dziełami sztuki za mały

procent podjął się w swym magazynie wystawiać to, co miałam do zbycia.

Praca ta w początkach wydawała mi się mechaniczną, nudną, utrudzającą umysł tem, że mu nie dawała zajęcia; przekonałam się jednak o pożyteczności jej dla ręki i dla głowy nawet. Mimowoli myśl wnikała w tajemnice, w pojęcia, w szczegóły tych kreacji, z których twórcami ciągle obcować było potrzeba.

Posłuszeństwo niewolnicze wzorom uczyło rękę być posłuszną własnej wyobraźni.

Zatrudnienie to mechaniczne miało dla mnie i tę dobrą stronę, że mnie nużyło, uspakajało, nie dawało myśleć o sobie i bezsilnie gryźć się swym losem. Niema nic lepiej uzdrawiającego nad pracę.

Odżyłam tu powoli, ku czemu się i powietrze i klimat i życie proste a wstrzemięźliwe z potrzeby przyłożyło.

Doszedłam po latach dwu do tego, że mogłam coś oszczędzić, coś złożyć w kassie oszczędności, a z jaką dumą grosz ten zapracowany niosłam do niej, wie tylko ten, co nic nie miał, a czegoś się dorobił.

Rodzina pocziwa, której powierzony był grosz mój w kraju pozostały, po śmierci starego Tarkowskiego nie uspokoiła się, aż odzyskała co mi się należało. Niewielki ten fundusz obróciłam, przypadkiem się dowiedziawszy o sprzedaży domku, na kupienie go i wyrestaurowanie.

Odtąd, jak widzisz, jestem u siebie gospodynią i mogę ci się pochwalić nawet, że na złą godzinę coś zbierałam jeszcze. Cóż chcesz! dokonałam tego, com pragnęła. Jestem ubogą ale niezależną; nie potrzebuję nic, bom się nawet miłości ludzi wyrzec potrafiła...

Ostatnie słowa z pewną goryczą szepnęła prawie niedosłyszczanym głosem. Sitko milczał ciągle jeszcze, wpatrując się w nią i niemogąc we własnym sercu dobrać się: czy w niem smutek czy radość przemaga.

Jakaś dziwna mieszanina uczuć nierozwikłanych zalegała je.

Oboje milczeli.

— Wiesz co — odezwiała się, patrząc na zbiedzonego Prospera, Sciborzanka. — Jeżeli ci nie innego nie trzyma w Rzymie nad tę pracę powszednią, znajdziesz ją we Florencji; jeżeli ci na to potrzeba jakiejś przyjacielskiej rady — pomocy — ja jestem jeszcze dłużną, stary przyjacielu, pozwól, abym się wypłaciła.

Sitko się zerwał przestraszony.

— A! pani — zawołał — ja właśnie myślałem o tem, że powinienem tu być na zawołanie twoje jako sługa. Toby przynajmniej mojemu życiu biednemu jakiś cel dało. Tu czy tam, coś kuć cudzego zawsze się znajdzie.

Rozmowa przeciągnęła się aż do chwili, gdy Bettina, stara, przez drzwi z drugiego pokoju oświadczyła, że makaron już na stole. Ludmiła z powagą wielkiej pani, śmiejąc się, podała rękę niepozornemu gościowi.

W drugim pokoju stół był bardzo powiejsku nakryty na dwie osoby, a półmisek makaronów stał na nim. Sciborzanka gospodarowała wesoło, aby zadumanego Sitkę rozbudzić i rozweselić.

Nie śmiała go pytać o nic i o nikogo — chociaż pytanie jedno ciągle miała na ustach.

(Dalszy ciąg nastąpi)

OBOWIĄZEK

(Streszczenie z Samuela Smiles).

(Dalszy ciąg).

Sympatya, gdy rozszerzymy jej zakres, przybiera wspaniałą kształt filantropii i działa publicznie, skłaniając wtedy człowieka, aby dźwigał innych ludzi z nędzy i poniżenia, aby polepszał położenie tłumów dołem zbitych, roznosił jaknajdalej wyniki cywilizacji, łączył węzłami braterstwa roz-

dzielone członki ludzkiej rodziny. Jestto obowiązkiem każdego człowieka, hojniej niż inni uposażonego, czy majątkiem, czy wykształceniem lub wpływem na społeczeństwo, aby część jakąś dóbr posiadanych, poświęcał dla dobra ogółu.

Przecież niekoniecznie potrzeba na to wielkich bogactw, lub wielkiej siły umysłu. Szczególnie potęgę pieniędzy i stanowiska przeceniamy w takich razach. Cóż miał, czem względnie do świata był, Sw. Paweł, czem byli inni Apostołowie? a obdarzyli cały znany wtedy świat Ewangelią. Wielka społeczna idea chrześcijaństwa opiera się w całości na idei braterstwa. Czyń innym, co chcesz, aby tobie czynionem było: oto wszystko. Niech tak jeden wspiera zawsze i wszędzie drugiego, mocny słabego, bogaty ubogiego, oświecony ciemnego, i nie zatrzymując się bynajmniej przy ograniczeniach pewnych, niech ten nawet, który ma mniej, poczuwa się do obowiązku datku jakiegos względem posiadającego więcej. Człowiek może czynić z życiem swoim, co chce: może mu nadać więcej ceny w oczach własnych i obcych, bo dostał i posiada moc potemu. Wywiera władzę najwyższą nad moralną i duchową naturą swoją, jest w możności podnieść ją lub zniżyć. Wszystko, czego pragniemy od Opatrzności, wszystko, co Bóg daje człowiekowi i ludzkości, musi być wielonem w czyny człowieka i wyjść tak z rąk jego, jakgdyby to on sam był tu stwórcą i dawcą.

Jakkolwiek ludzie pożądają używania i przyjemności, szczęście polega całkowicie na sile uczuć naszych. Dostajemy je jednak, to szczęście, za pośrednictwem własnych naszych przymiotów. Smiles przytacza jako wielką prawdę, co ktoś z przyjaciół napisał w liście do jednej z literatek angielskich. — „Nie znałem nikogo tak ogólnie lubionego, kochanego, uznawanego, jak ty pani, lecz sprawa to niewątpliwie własna twoja siła kochania“.

Zdanie to podzielam najmocniej i w dziełach sztuki tłumaczy to nieraz taką nieodgadnioną napozór siłę przyciągania jednych, jakiej nie mają nigdy inni, talentem bynajmniej nie niżsi. Nie możesz zaprzeczyć piękna formy, wyższej myśli i polotu fantazyi, świetności wyrażenia w poezyi, lub kolorytu w obrazie: a przecież to wszystko, uznane przez ciebie, zostawia cię zimnym, obojętnym, gdy przeciwnie tam, u drugich, wszystko cię zachwyca, zwycięża, zapanowuje nad tobą i podbija sobie nazawsze. Jestto siła miłosna twórcy, wlana w jego dzieło. Gdzie i kiedy był powieściopisarz tak ogromnie uczczony przez swój naród jak Kraszewski? Niewątpliwie w hołdzie oddanym mu skupiło się to, co serca na innej drodze wydać z siebie pragnęły, ale niemniej dlatego stał on się przedmiotem, który ześrodkował te objawy zapалу, bo odnajdowano w nim te wszystkie tętna uczuć, które miła pierś ogółu. Są blaśki świetne, lecz zimne, jak łamanie się światła o lody, jak migoty lun fosforycznych; ale trzeba iskry gorącej, trzeba ciepła, aby serca wzruszyły się i rozgorzały.

Za ludzi najgodniejszych litości uważa Smiles tych, którzy, nie poczuwając się do żadnych obowiązków dla innych, idą przez życie jedynie z egoistycznym celem własnego dobra, własnego używania, a jeżeli kiedy uczynią coś dla innych, to z pobudek osobistych, czy próżności, czy swego stanowiska społecznego, często zaś pod siłą rozumowań umysłu. Bywa też tkliwość sztuczna; można ją w sobie wyrobić przez wzruszanie się dla przedmiotów fikcyjnych, istniejących tylko w wyobraźni naszej. Jestto czułośćkliwość, ta najgorsza plaga serca, przed którą Żmichowska ostrzega w *Białej Róży*. Sterne rozczulał się nad zdechłym osłem, a pozwolił żonie swojej mrzeć w nędzę. Nie wiedziałam o tem, aż do chwili czytania książki Smilesa; lecz Sterne, autor sławnej *Podróży sentymentalnej*, był dla mnie zawsze wstrętnym, wstrętnym niesłychanie przez tę właśnie niby uczuciowość swoją, w której intuicyjnie, jak wiem teraz, odczuwałam blichtr i nieprawdę. Wyraz rzeczywistego uczucia ma w sobie zarazem wyraz prawdy, którego nawet talent nie potrafi ująć. Da niby uczucia tego obrazy przez siłę fantazyi, przez siłę wyobraźni stworzone; jest w tem artyzm, jest więc piękno, ale brakuje tego czegoś, co za serce

chwytą. Tylko wyobraźnia może być chwilowo uderzona, lecz wrażenie zaciera się i nie pozostaje nam z takich utworów nic na dłuższego trwania umiłowanie, na trwałą własność naszego ducha.

Bain w dziele swoim „On the Study of Character” pisze, że Goethe trzymał się zdala od widoku cierpień, ponieważ odczuwał je boleśnie i rozstrajały go. Smiles widzi w tem dowód, że siła jego sympatii była wielką i tylko usuwał od siebie okoliczności mogące ją pobudzić, lecz w tym punkcie nie godzę się z nim. Goethe był poprostu zimnym a rozumnym egoistą; wrażliwy nerwowo unikał tego, co było dlań przykrem — co jest przykrem dla każdego, ale człowiek z sercem, człowiek z prawdziwym uczuciem sympatii dla ludzi, poświęca się na tę przykrość przez uczucie miłości, która serce jego zapala. Prawdy tego dowodzi to właśnie, co Smiles cytuje z dzieł Sgo Augustyna i reformatora Knoxa. „Serce musi działać na serce — pisze Knox — idea żywej istoty jest zasadniczo potrzebna dla szczerých wzruszeń naszego serca”. Oderwane pojęcie nie starczy dla prawdziwej uczuciowości; rzeczywiście uczucie ludzkości musi polegać na czemś więcej, niż na samem pojęciu obowiązku, albo piękności cnoty, i ludzie nietylko odradzają się przez prawdę abstrakcyjną, ile przez to natchnienie niebiańskie, które ich nawiedza za pośrednictwem własnej dobroci i współczucia dla ludzi. Dobroć i współczucie to siła i potęga działająca we wszystkich wielkich filantropach, podwalina wszystkich wielkich poświęceń. Filantrop szkocki, Norman Macleod, słusznie osądził, co jest podstawą wszystkich dzieł dobroczynności, wołając: — „Trzeba nam żywych ludzi! — Nie ich książek, lub ich pieniędzy, ale ich samych. Ubogi i wsparcie odbierający, nagi i odtrącony widzi i czuje, jak może nikt inny, miłość błyszczącą w spojrzeniu, a która mówi mu o jasności swojej i spokoju: o tem, że w niej oto serce istoty zmęczonej może znaleźć cichą uchronę i miejsce słodkiego odpoczynku. Umieją oni, ci biedacy i nędzarze, odróżnić i zrozumieć czyste i niekłamane uczucie”.

Wiele ludzi daje pieniądze na cele dobroczynne; ale to nie jest dobroczynność jeszcze. W Londynie, tem najbogatszym mieście świata, istnieją dzielnice będące najwyższym stakiem nędzy, cierpień i złego; datki, które są hojnie składane w celu usunięcia, lub przynajmniej złagodzenia, nieszczęsnego stanu rzeczy, nie stanowią jeszcze dowodów dobroczynności, i wobec East Endu w Londynie, dobroczyncą prawdziwym był Edward Denison, który pozakładał w dzielnicach ubogich banki groszowe (Penny banks) chcąc najpierw wydrzeć wódce i zepsuciu tę odrobinę, którą robotnik może odłożyć na bok, a którą znajdzie potem, jako zesłany mu z nieba ratunek w ciężkiej dla siebie chwili niemocy lub nieszczęścia, czy potrzeby rodzinnej. Denison umarł wcześniej, niż wsiadł przez niego ziarno zesłało obficie; lecz pokazał innym drogę, postępowano dalej jego śladem, i słusznie pozostaje on w historii dobroczynności swego kraju jako przedmiot czci, do jakiej nie daje i nie da nigdy prawa dar najwspanialszy.

Mimowoli ciśnie się tu pod pióro nazwisko Alexandra Głowackiego (Bolesław Prus). Żywe współczucie dla klas pracujących dało mu tę intuicyjną chwilę, tę siłę słowa, których owocem będzie dzieło wysokiej dobroczynności, wyrwywające naszego robotnika ze szpon lichwy lub nieuczciwego wyzysku, jaki zawsze idzie w parze z pokątnym zastawem, lub dawanym na kredyt towarem. Deklamator krzyczał przeciw tym, którzy trudnią się okrutnym rzemiosłem owem, pisał wstrząsające książki i mnożył ich edycje; a tu oto człowiek żywego uczucia, nie budząc w sercu złych, lecz zwracając się do dobrych, szlachetnych, wspaniałych uczuć ludzkości, zbudował rzecz pomnikową. „Miej serce, i patrz w serce”...

Smiles pisząc o oddzielnosci klas, która w Anglii jest większą niż gdziekolwiek, uważa ją za skutek braku współczucia: i jest tak niewątpliwie. Człowiek rzeczywiście dobry sercem i uczuciowej natury nie jest zdolnym odciąć się zbyt surowo od innych ludzi, i żaden przesąd towarzyski nie zawadzi tak serca, abyśmy w drugim, obok nas

przebywającym człowieku, widzieli zawsze, nie jego osobistość ludzką, ale położenie społeczne, stanowisko. Tylko sercem zimni ludzie takimi być mogą: dobroć i współczucie usuwa precz te granice i sprawia, że względność idzie tuż za mimowolnie uczuwaną życzliwością, która następnie pozwala się wywiązać wzajemnemu przywiązaniu. Z tego też względu w stosunkach państwa do sług, dobroć serca gra wielką, ogromną rolę. Kto zaś w zajmowanej przez siebie służbie widzi tylko najemników do takiej a takiej pracy, za którą płaci im według umowy, niech nie żąda od nich żadnych uczuć ludzkich. Wtrąciłabym tu przecież słowo, że człowiek z natury swojej nie może nigdy pozostać całkowicie maszyną. Co z uczuć jego serca nie obróci się sympatycznie w przychylność, w usposobienie życzliwe, musi się zmienić pod konieczną siłą rozkładającego fermentu w uczucie przeciwnie: nieżyczliwości — w nieprzychylność. Brak sympatii między niższymi i wyższymi stanami zatruwa społeczeństwo. Nie znamy się wzajem, nie dbamy wzajem o siebie i egoizm w nas rośnie; zapuszcza głęboko korzenie, w pogoni za zyskiem i używaniem życia stajemy się względem innych twardymi i wyłącznymi, własny cel mamy tylko przed oczyma. Wyścigi, które ztąd powstają, są straszne. Egoista, człowiek, który nie kocha swych bliźnich, garnie tylko dla siebie i swojej rodziny: ztąd się rodzą przestępstwa przeciw uczciwości, ztąd powstają oszukaństwa i zbrodnie. Biegnie się za gwiazdą własnego losu, choćby po ciałach i duszach, choćby po życiu i własności innych, pisze Smiles, przypominając słowa Żmichowskiej:

I nikt nie pyta, co na drodze jego:
Przepaść lub kamień, czy serce bliźniego...

— Co mnie obchodzą inni? — mówi sobie egoista. — Co to do mnie należy, że tam ktoś cierpi, że jest nędznym i upadłym? Dlaczego ja mam mu pomagać, ja właśnie? Nieszczęście istniało zawsze na świecie od jego początku i istnieć nie przestanie do końca.... Lecz przy takim: — Co mi tam! — życie nie jest tak łatwym, jak się zdawać może. Taki zimny, samolubny, obojętny na innych człowiek, wywołuje konieczny i słuszny odpór i ulega smutnym następstwom swego egoizmu. Nie dba o to, że nędza, skupiona wśród wąskich zaułków, oddycha o kilka ulic od jego domu zatrutem i zgniłym powietrzem; ale zaraźliwa gorączka, która się z tego wyrodi, trafi do niego i uderzy weń lub zabierze mu najdroższą serca jego istotę. Nie dba że istnieje ciemnota, ubóstwo, zepsucie i zbrodnia; ale chytry złodziej, dziki zbójca, motłoch szalony może się znaleźć na jego drodze, i wtedy już się wyminąć nie pozwoli. Nie dba również o politykę, gniewa go podatek, ofiara dla dobra kraju ponoszona, ale gdy klęska jego ojczyzny spadnie na niego w potokach krwi, gdy go wyprze z jego stanowiska, wydrze mu majątek, złamie nadzieję i zagrozi los jego dzieci, jęknie w końcu i uczuje, że człowiek nie może bezkarnie wyosobnić się ze swego społeczeństwa, ze swego narodu — z ludzkości.

Jeżeli ekonomista powiada, że stosunek prawodawcy do robotnika, pana do sługi jest umową zasadzającą się na pieniądzach, że ci ludzie nie są sobie nic winni nad to, co umowa określi: tyle pracy za tyle płacy... bierze on w rachunek tylko tę jedną stronę rzeczy, na którą uwaga jego się zwraca; ale życie jednostronnem nie jest i być nie może. To też moralista i filozof-statysta, człowiek wreszcie, musi widzieć w stosunkach ludzkich coś więcej, niż interes materialny: te nierozdzielne węzły braterstwa i wzajemności, które tak wiążą ze sobą całą rodzinę ludzką, jak wiąże ze sobą pojedyncze jednostki. Wspólność interesów ludzkości nie jest bajką ani utopią; wszystkie klasy społeczeństwa powinny łączyć się ze sobą nicią sympatii i życzliwości wzajemnej, powinny poczuwać się względem siebie do pewnych powinności braterskich. Wzajemna dobroć i szacunek: to obowiązki wszystkich dla każdego i każdego dla wszystkich. Bez takiego gruntu, mogącego przecież utrzymać się tylko na podstawie wzajemnie uczuwanego i wzajemnie przyznawanego sobie godności człowieka, nie może być żadnych skutecznych reform i ulepszeń: wieczna walka, wie-

czna nędza, wieczne cierpienie byłoby bez tego niezmiennem przeznaczeniem ludzkości.

Szkola filozofii, szkoła moralności utylitarnej, złe, nieszczęśliwie wyrabia ludzi, i Sidney Smith, mówiąc o człowieku do niej należącym, zdaje się odmawiać mu wszystkich właściwości człowieczeństwa. — „Jest on, taki twardy — pisze z goryczą — że nie drgnie, choćbyś po nim przejechał kutyim wozem. Pewny jestem, że gdybyś przekłuł go gwoździem, posypałby się z jego piersi tylko suchy piasek. Ta szkoła traktuje ludzi jak maszyny: serce, uczucie nie wchodzi nigdy w zakres ich uwagi”.

Cóżby się stało z ludzkością przy takim jej skierowaniu? Gdzieby się podziela bezinteresowność, ufność, wierność? Pieniądz byłby wszystkim i szacunek wzajemny zaginąłby musiał. „Ten, który nie szanuje, szanowanym nie bywa” — mówi myśliciel i trzeba nam uważnie, głęboko wejrzeć w głębi tego zdania.

Nietyle też trzeba nam wykształcenia naukowego, literackiego, ile przyzwyczajenia do rozważań, dobrych obyczajów i poważnych myśli. Bogactwo materialne nie wzbogaca ostatecznie świata, nie da mu rozkoszy wyższego rodzaju. Serce, smak szlachetny i sąd zdrowy stanowią o szczęściu człowieka i obdarzają go najszczytniejszą formą istnienia. Głęboko prawdziwą jest piękna piosenka szkockiego Burnsa.

(Dalszy ciąg nastąpi)

IRLANDYA

RYS JEJ DZIEJÓW

(Według Beaumonta i innych źródeł)

(Dalszy ciąg).

6. Niemoc w otwartej walce popycha do podziemnego nurtowania. Fenianie zwracają się przeciwko dynastji angielskiej; w r. 1866 myślą o porwaniu i uprowadzeniu królowej, przebywającej w Balmoral na Wight, a jeden z nich, Farrell, w zimie 1868/9 strzela do syna królowej Wiktorji, Alfreda, w Australii. W samej Irlandji od r. 1868 historia fenianizmu nie przedstawia już czynów do powstania podobnych; zdobywa się zaledwie na tłumne, hałaśliwe zbiegowiska, na piorunujące rezolucje, na wybory patryotów, których parlament odtrącać musi. Przestępstwa agrarne, te rośliny na Zielonej Wyspie od początku naszego wieku gruntowe, rozkwitają w całej pełni; wrze walka uliczna z policją; bójki z żołnierzem angielskim, podpalanie koszar, napad na placówki, należą do kroniki wypadków zwykłych. Nie braknie usiłowań dla uwolnienia więźniów, lub zabrania broni z arsenału. Liczba przestępstw agrarnych w niektórych chwilach przerażająco wzrasta; lata 1870, 1873 i 1878 obudzają niepokój w parlamencie angielskim, a wypadki roku ubiegłego i bieżącego są zbyt jeszcze żywe i przypomnienie ich zbyt wieleby nam miejsca zabrało, abyśmy tu szczegółowy ich przegląd odbywać mogli. Solidarność ludu, siła ogarniającej go namiętności jest tak wielką, że do wypędzenia jednego dzierżawcy sprawiedliwość angielska potrzebuje kilkuset, tysiąca, a jak się zdarzyło w wypadku kapitana Boycotta w r. z., dziesięciu tysięcy zbrojnych. Według wykazów policyi angielskiej, w jednym miesiącu Maju r. b. popełniono wszelkich przestępstw, do których pobudka tkwiła w stosunkach rolnych — trzysta trzydzieści kilka.

Dziś już nie wszystkie te przestępstwa na karb fenianizmu zaliczyć można; jednolite bowiem niegdyś stronnictwo, później wskutek niepowodzeń rozbiło się na dwa wielkie ołdłamy: umiarkowany i gwałtowny. Pierwszy w zimie z roku 1871/2 wystąpił jako partja *Home-rulers* (stronników własnego rządu) w parlamencie, drugi jednocześnie przybrał nazwę *Nationalists* (narodowców). W obu tych ołdłamach dają się dostrzegać

dwie odmiany: jedna przeważnie polityczna, druga przeważnie socjalistyczna. Odlam gwałtowników, którego głównym przewodzącą był jeszcze dwa lata temu niejaki Smyth, odpowiada dawnym stronnikom siły fizycznej z lat 1847/8; Homerulerzy idą, a przynajmniej z początku szli, śladem *Repealers* t. j. dążą do samoistnego rządu, ale nie chcą politycznego oderwania się od Anglii. Na czele ich stali z początku Butt i O'Sullivan. W listopadzie r. 1874 założono *Home rule-League*, która wkrótce rozpostarła się po kraju. Później w r. 1877 w stronnictwie, które nie było nigdy porządnie zorganizowane, zaczęły występować niezgody i dzisiaj jeszcze, w najgorętszej chwili, nie ustają. Home-rulerzy z działaniami swemi nie ukrywają się; przeciwnie, Fenianie, Nacyonalisci i Internacyonalisci, trzymają się pod ziemią i tylko przy znaczniejszych wydarzeniach wysuwają rękę. Nienawiści między obu głównymi stronnictwami trzęsącymi krajem bardzo się wcześniej zaczęły; w r. 1876 (w Kwietniu) wyszły aż na ulice Limericku, dając światu widok gorszącej bójki. Czynne takie dyskusje leżą w charakterze Irlandczyków i wydarzały się często, i za O'Connella, i w rewolucję 1848 r.

Związek Fenianów amerykańskich z europejskimi osłabł po r. 1867; dla wzmacnienia go odbywał podróże w r. 1879 homeruler, Parnell; Amerykanie pozwolili mu nawet mówić w sali Kongressu, ale tylko prywatnie. W roku bieżącym zależność i wpływ wzajemny obu odłamów, krajowego i emigracyjnego, znajdują się w takim stanie, w jakim zostawały podczas usiłowań rewolucyjnych 1865 r. Na czele Fenianów amerykańskich stoi O'Donnovan Rossa; — wydaje on w New-Yorku dawny dziennik *United Irishman*, a pisze go błotem, krwią i ogniem. Licznych sprzymierzeńców mają Fenianie irlandzcy w wielkich miastach angielskich na wybrzeżu zachodnim. Okazuje się to na meetingach i przy gwałtowniejszych wystąpieniach, jak niedawne usiłowanie podpalenia koszar w Manchester, lub wysadzenia ratusza w Liverpool (Czerwiec 1881 r.).

W r. 1877 z łona Homerulerów w parlamencie zasiadających wydzielił się pod przewodnictwem Parnella, — człowieka młodego, bardzo zdolnego, który jako mówca i myśliciel świetnie już zabłysnął, ale nie posiada jeszcze pożądanego praktycznego talentu prawdziwego polityka — odlam *Obstrukcyonistów*, t. j. przeszkadzających rozprawom parlamentu. To przeszkadzanie Anglikom ma dopomagać Irlandyi; ale rzeczywiście, opóźniając tylko obrady, ujemnie jedynie świadczy o mądrości politycznej Irlandczyków i dojrzałości Parnella, który pierwszy użył był obstrukcyonizmu jeszcze w r. 1876 jako narzędzia walki parlamentarnej. W lutym bieżącego roku przeszkadzacz wywołał w parlamencie sceny tak gwałtowne, tak gorszące, że równych im nie znajdziemy może w całej historii parlamentarizmu tegowiecznego. Parlament, do roku bieżącego bezbronny, nareszcie się teraz uzbroił: 36 deputowanych irlandzkich na jednym posiedzeniu wydano z sali.

Ważniejszym nad wszystkie te stowarzyszenia, bractwa, sojusze, kierunki woli i myśli polityczno-społecznej jest obecnie w Irlandyi wielki związek zwany *Land-League* (Liga Rolna), ogarniający prawie całkowicie wszystkie te trzy prowincje, w których stosunki rolne potrzebują gruntownego przetworzenia (Connaught, Munster, Leinster) a łączący w sobie wszystkie stronnictwa kraju na podstawie ścisłego związku z ludem, posłusznym na każde skinienie. Ligę tę założyli przed paru laty Davitt, Butt, Sullivan i Parnell, w miejscach dawniejszej *Home-rule League*, której dążności w nowej się odnajdują; gorliwym niezmiennie jej organizatorem był aż do chwili swego uwięzienia (Kwiecień 1881 r.) Dillon. Wszystko, co się dzieje na wsi w Irlandyi: wszystkie umowy, odmowy, pogróżki, wyroki i czyny zastrasające, same nawet morderstwa gruntowe: wszystko to do kompetencji Ligi należy i albo się przez nią lub pod powagą jej spełnia, albo się o nią opiera. Uprawnienie obywateli pod rządem angielskim jest tak wielkie, że pomimo panujących od Marca r. b. praw wyjątkowych ani administracja ani parlament dotychczas nie odważyły się

na rozwiązanie tak niebezpiecznego stowarzyszenia.

Duchowieństwo irlandzkie, słusznie pod zarzutem zbytnej gorliwości kościelnej i ultramontanizmu, a zaniedbywania praktycznego posłannictwa kapłańskiego, może nawet wyzyskiwania ludu, stojące, w ostatnich kilkunastu latach spotęgowało i uszlachetniło swój patryotyzm; zwłaszcza proboszczowie, ciesząc się wielkim zaufaniem i nawet miłością ludu, są prawie bez wyjątku szczerymi patryotami. Kiedy dawniej, gdy jeszcze Kościół irlandzki był uciemnionym, księża, trzymając z ludem, miewali częstokroć własny tylko interes na widoku, obecnie w wicherzeniu narodowym powoduje nimi nieudane narodowe uczucie. Niezgadzając się na wszystkie postępy homerulerów, wszyscy jednak dążenia ich dzielają; niema zresztą w Irlandyi nikogo, kto by odrzucał sukcesyą idei O'Connella i nie chciał kraju swego widzieć samodzielnie rządzonego. Liga Rolna dobrze się zasłużyła Irlandyi przez wprowadzenie duchowieństwa w wir czynnego życia narodowego. Duchowieństwo niższe uczestnictwem swoim spotęgowało siły tej bezmiennej i niezorganizowanej organizacji narodowej, której życie samo byt i formę nadało, a która z potęgą moralnej, jaką sama przez się być musi, stać się ma potęgą polityczną w chwili, gdy przez nacisk na Anglię polityczne też przyniesie skutki. Duchowieństwo wyższe, jak wszystko, co wyższe, ozięblejsem jest od zostającego na powszedniej służbie, ale i jemu uczucie patryotycznych odmawiać nie można. Zaraz po wielkiej reformie kościelnej z r. 1869 biskupi wystąpili w interesie nie tylko swoim, ale i narodowym. Podczas zawieruchy 1880 r., niepochwalać gwałtów i morderstw rolnych, umieli jednak dostojnicy kościoła irlandzkiego przemówić w obronie praw, żądań i potrzeb narodu. Z listu papieżkiego potępiającego przestępstwa, nie uczyniono w roku zeszłym narzędzia do walki stronnicej. Samo powołanie kapłańskie nie pozwala duchowieństwu we wszystkim i zawsze solidaryzować się z *Home-rule'm* i *Ligą Rolną*; ale ostatecznie duchowieństwo to zsolidaryzowało się dziś już zupełnie ze sprawą narodową, a to jest najważniejsze.

Z jednym tylko stronnictwem księża bój toczą: z Fenianami, zwłaszcza z ich internacyonalnym, ateistycznym i materyalistycznym odlamem; ale takich demokratów-republikanów w Irlandyi jest niewielu; naród gorliwie katolicki nie miał jeszcze czasu napoić się ideami przeciw-religijnymi. Jak forma ideału państwowego w Irlandyi jest demokratyczną, bo ją nieprzyjaźni ku Anglikom-arystokratom wywołuje, tak znowu demokracja irlandzka jest w ogromnej większości swej katolicką, i z gruntu ludu gorąco katolickiego wyrastając, inną-by być nie mogła.

7. Po stłumieniu wybuchów feniańskich w r. 1868 zaczął się nowy okres działalności prawodawczej w parlamencie londyńskim: pobudzali do niej ciągłymi podjazdami i utarczkami przedstawiciele Irlandyi; ale i sami Anglicy, których rozum i doświadczenie pod słońcem rzeczywistości coraz bardziej dojrzewiają, z własnego popędu o polepszeniu losu Irlandyi myśleć zaczęli. W czasie, który na tu zajmuje, Irlandya znalazła przyjaciół w Millu, Bright'cie, Gladstone'ie i Russellu. Wszyscy oni uznawali potrzebę polepszenia stosunków rolnych i rozszerzenia prawa wyborczego; wszyscy, z wyjątkiem Russella, uważali zniesienie urzędowego Kościoła irlandzkiego za niczem nieodwróconą konieczność; Bright przechylał się na stronę samoistnego parlamentu; wreszcie Mill, umysł odważny, cudownie logiczny i sprawiedliwy, jako jedyną formę ostatecznego urządzenia stosunków rolnych w Irlandyi, wskazywał zupełne uwłaszczenie ludu. Z ideałów tych nie wszystkie się ziściły, a żaden w zamierzonych rozmiarach urzeczywistnić się nie dał. Opinia w Anglii wielki już uczyniła postęp od czasów Billu Emancypacyjnego, ale nie taki jeszcze, jakiego obie stroną potrzebują dla siebie, aby mogły żyć w pokoju.

(Dalszy ciąg nastąpi).

KRONIKA DZIAŁALNOŚCI KOBIECEJ

Hrabina Wilma Hugonay, Węgierka, ukończywszy niedawno studia medyczne w Zurychu, i otrzymawszy tamże doktorat, rozpoczęła w Pesszcie po odpowiednim examinie praktykę, jako lekarka chorób kobiecych i dzieciennych. Ze mniejszej w tym samym czasie Bohusława Keck, Czeszka, po przebyciu również studiów i doktoryzowaniu się w Zurychu, zajęła podobne stanowisko w Pradze, a Belgijka, von Diest, praktykująca w Londyńskim Szpitalu dla kobiet, otrzymała pozwolenie praktykowania w Bruxelli, z warunkiem złożenia obowiązującego w kraju examinu: pisma zajmujące się przyszłością medycznego zawodu kobiet, zwracają uwagę, iż obecnie wszystkie już cywilizowane kraje świata, posiadają kobiety lekarki. Pierwszą między nimi była w naszym wieku Elżbieta Blackwell, z urodzenia Angielka, ale wychowana w Ameryce, gdzie też studiowała medycynę i w 1848 roku doktoryzowana została. Studiowała jeszcze potem w Paryżu i tamże doktoryzowała się powtórnie; za powrotem do Ameryki założyła pierwszą szkołę medyczną dla kobiet, połączoną ze szpitalem i apteką, w czem wspomagała ją siostra, także już doktorka medycyny, Emilia Blackwood i Marya Zakrzewska, Polka z Prus Zachodnich, która w 1853 r. wyemigrowała do Ameryki. Zakrzewska studiowała medycynę w Bostonie, tamże doktoryzowana została i tam praktykuje jeszcze obecnie z powodzeniem. Ameryka liczy dziś 500 lekarzek, doktoryzowanych w Ameryce lub Europie. Dr Bodley, dziekan Medycznej Kobiecej Szkoły w Pensylwanii, podaje cyfrę doktoryzowanych także kobiet na 189. Z tych trzy zrobiło wkrótce taki majątek, że wycofały się z praktyki lekarskiej; trzy czwarte pozostałych zarabia przecięciowo po trzy tysiące dolarów rocznie, co nawet w Ameryce zapewnia bardzo przyzwoite utrzymanie (dolar odpowiada 10 złp.). Z pomiędzy 54, które wyszły za mąż, tylko pięć wycofało się z praktyki. Wiele Amerykanek powtarza studia swe w Europie, najwięcej w Paryżu i w Zurychu. Za najznakomitszą doktorkę między Amerykankami uważaną jest Marya Putmann, doktoryzowana w Paryżu.

We Francyi praktykują obecnie trzy kobiety doktorki: Dr Magdalena Brès, która jest zarazem od 1878 r. przez rząd mianowaną lekarką kobiet w teatrach paryżkich; Dr Marya Verneuil, praktykująca także w Paryżu, i Dr Ludwika Ribbard w Nantes. Wszystkie medyczne fakultety francuskie są od 1868 roku bez żadnych zastrzeżeń otwarte kobietom i skoro kandydatka złoży dowody odpowiedniego wykształcenia, przystęp niczem utrudniony jej nie jest i używa od tej chwili wszystkich praw, przysługujących studentom mężczyznom. Przed 1868 r. warunkiem uczęszczania na studia był ubiór męzki. Zastęp kobiet studiujących we Francyi jest liczny, ale głównie składają go cudzoziemki. Znaczna część jest Amerykanek.

Na czele angielskich lekarzek stoi Mrs Anderson, z domu Garrett, doktoryzowana w Paryżu, a używająca obecnie wielkiego szacunku w londyńskim kole medycznym i wielkiego wzięcia wśród publiczności. Jej głównie zawdzięczają Angielki utrzymanie się i szczęśliwy rozwój Londyńskiej Szkoły Medycznej dla kobiet, w której studia dają obecnie prawo do ubiegania się o stopień doktora medycyny, co jest dla kobiety wielką rzeczą, jakkolwiek obecnie uniwersytet londyński otwarty jest dla niej na równych z mężczyzną prawach. Do znakomitszych angielskich doktorek liczy się również E. Morgan, Walijka rodem, która ze szczególnem odznaczeniem studiowała medycynę i doktoryzowała się w Zurychu. Zaraz po powrocie do kraju w 1874 r. wyszła za mąż, za Dra med. Hoggan, doktoryzowała się dla praktyki w kraju, raz drugi w Dublinie. Znaną i znaczną praktyką ciesząca się jest z rodu Szkotka, Zofia Jex Blake, rozslawiona przez pięcioletni proces z fakultetem medycznym uniwersytetu edinburskiego, który

ulegając parciu studentów mężczyzn, kobietom, będącym już studentkami regularnymi aulę uniwersytecką zamknął. Miss Blake doktoryzowała się najpierw we Francji, w Montpellier, następnie w Dublinie, i dziś praktykuje zwycięzko w Edynburgu. Ogółem jest 21 kobiet lekarek, praktykujących w Anglii i znajduje się je w każdym niemal mieście. I tak: Dr Anna Dahms w Manchester, Dr Anna Barker w Birmingham, gdzie także naczelnym lekarzem szpitala dzieciennego była do tej pory Miss Clark, a po usunięciu się tejże, zajmuje to miejsce Alicya Ker, a Miss Marston obejmuje tamże miejsce lekarza drugiego, zajmowane dotąd przez miss Ker. Edyta Peschey praktykuje od lat kilku w Leeds, gdzie otacza ją wielką miłością i wdzięcznością kobiet z ludu, szczególnie robotnic fabrycznych, liczniejszych w tem mieście, niż gdzieindziej. Prócz tego wiele Angielek lekarek udało się do Indji, gdzie w zamkniętych dla lekarza-mężczyzny zawodach, pełnią przez praktykę swoją prawdziwe dzieło miłosierdzia i ludzkości. Jest ich kilka w Egipcie, w Turcji, pracujących w haremach z równie szlachetnym celem: niesienia pomocy lekarskiej tam, gdzie bez nich nie byłoby żadnej zgody. Kobiety lekarki puszczają się jeszcze dalej, łącząc z naukowym zawodem swoim chrześcijańskie dzieło misyjnego, jak miss Waterson, zamieszkująca w Livingstone-Africa.

Annę Dahms, choć mieszkającą i działającą w Anglii, Niemcy liczą do swoich kobiet lekarek, jest bowiem Niemką z urodzenia i dopiero za otwarciem w Londynie Szkoły Medycznej Kobieccej, udała się tam, szukając nauki, której wtedy nie mogła jeszcze znaleźć w kraju. W Berlinie są obecnie dwie bardzo znane i uznane lekarki: Franciszka Tibertius, rodem z wyspy Rugii, i Emilia Lehnus z Norynbergi, obie wykształcone w Zurychu, a obecnie praktykujące w Berlinie, gdzie założyły wspólną lecznicę dla kobiet i dzieci. Dr Franciszka Tibertius usiłuje dorocznie miewaniami odczytami rozszerzyć między kobietami niemieckimi wiadomości i zdrowe pojęcia higieniczne.

Szwajcarka posiada dwie praktykujące doktor-ki: Karolinę Furner i Maryą Voegtlin, dziś żonę Dra Alberta Heim, profesora geologii. Obie kształciły się w Zurychu. Voegtlin przeżyła ciężkie próby, ponieważ rodzina, a głównie ojciec sprzeciwiał się jej zawodowi. Lękał się dla niej głównie zetknięcia z rozmaitemi kobietami, które się do Zurychu zbiegały. Marya cichaczem i o własnych siłach, pełniąc zwykle zajęcia domowe, przygotowała się do egzaminu maturitatis, któryby jej drzwi uniwersytetu otworzył. Zamieszkiwała z rodzicami w małym miasteczku Brugg, w kantonie Aarau, a jakkolwiek przez lat sześć przebywała na dobrej pensji w Genewie, wielu rzeczy, jaknaprzykład łaciny, uczyć się musiała mozolnie, bo bez żadnej pomocy. Działo się to w 1869 r., a w 1870 r. złożyła pierwszy egzamin w gimnazjum w Aarau, w 1872 r. drugi już fachowy w uniwersytecie, w 1873 r. doktorski, a 1874 r. poszła za mąż, niemniej praktykuje i jest bardzo w chorobach kobiet i dzieci w Zurychu wzięta.

We Włoszech stara tradycja kobiecych studiów medycznych otworzyła im bezspornie drzwi uniwersytetu i znajduje się już tam kilka doktoryzowanych lekarek, między którymi najsłynniejsza i ciesząca się najliczniejszą praktyką w Bolonii, gdzie studiowała, jest Marya Velleda Furne. W Danii i Szwecji również kobiety są już od lat kilku przypuszczane do studiów uniwersyteckich; w Hollandyi poświęcają się głównie zawodowi aptekarskiemu, co tam jest złączone z możliwością leczenia, przecież w Leydzie praktykuje już ze stopniem Dra medycyny Aletta Jacobs.

W Hiszpanii przystęp do wykładów uniwersyteckich jest kobiecie od lat kilku otwarty, studiowało dotąd i przebywszy examina, otrzymało stopnie uniwersyteckie trzy, ale teraz właśnie zawrzał tam spór bardzo namiętny z powodu studentki, Katalonki, która ukończywszy studia, zapragnęła otrzymać stopień Dra medycyny, z chęcią praktykowania następnie. Pismo medyczne, wychodzące w Madrycie: *Siglo Medico*, wystąpiło w dniu 15 Maja r. b. z bardzo silną opozycją, przeciw lekarskiemu zawodowi kobiety. Niech kobieta uczy się, niech oświeca swój umysł—piszą tam—niech naukowe zakłady dla kobiet zostaną urządzone lepiej i z szerszym, wyższym nauczania zakresem, ale niech to wykształcenie kobiety ma na celu zużytkowanie wiedzy na korzyść rodziny, na korzyść obowiązków macierzyńskich. Potrzebnym jest również wytworzenie kobiecie pewnych zawodów, dających utrzymanie, lecz łatwiejszą, z naturą kobiecą zgodniejszą będzie rzeczą, aby zwrócono się w kierunku innym, naprzykład sztuki. Kobieta nie zdoła nigdy wywiązać się dobrze z obowiązków swoich jako inżynier, prawnik, medyk.

Dyrektor wydziału w ministerjum Oświecenia Publicznego Don Paskal de Gayangos, członek Rady wychowania publicznego, wyraża to samo zdanie w Madryckim organie urzędowym. Że przecież trzy kobiety otrzymały już stopnie naukowe, nadające im prawo praktyki, uważa, iż zapewne prawo to cofnięte im nie zostanie, i te praktykować będą, ale nadal uniwersytety hiszpańskie nie będą już przypuszczać kobiet do egzaminów na stopnie takie, jakkolwiek wykłady uniwersyteckie zamkniętymi im nie zostaną. Nizki poziom ogólnego wykształcenia kobiet w Hiszpanii i brak niemal zupełny zakładów, dających dobrą naukę średnią, sprawia, że studia uniwersyteckie tylko dla wyjątkowych osobistości przystępne być mogą i cała ta sprawa obchodzić może bardzo mało kółko interessowanych.

U nas p. Tomaszewiczówna jest, prócz p. M. Zakrzewskiej, którą nie wiedzieć czy już do nas liczyć można, jedną i jedyną kobietą, która studiowała medycynę. Nie zdaje się, aby obecnie znajdowała się gdzie jaka rodaczka nasza, kształcąca się w tym kierunku; p. Tomaszewicz ma praktykę bardzo zadawalającą.

Na Uniwersytecie Berlińskim słucha obecnie wykładów prof. Virchow Amerykanka, która już

studia medyczne w ojczyźnie odbyła. Dr Virchow wyraża się o tej słuchaczce swojej z wielkiem uznaniem.

Amerykanka, Mrs Botta, przekazała w 1876 r. testamentem 20,000 franków Akademii Francuskiej, od których procent byłby obracany co lat 5 na wynagrodzenie najlepszego dzieła w przedmiocie emancypacji kobiet. Początkowo Akademia nie chciała wcale zapisu tego przyjąć, ostatecznie przecież zgodziła się na przyjęcie i utworzenie konkursu w zmienionych jednakże warunkach, aby przedmiotem traktowanym było: „Polożenie kobiet“. Tego roku wypadł czas przysądzenia nagrody, z dniem 10 Maja zamykał się konkurs, i z liczby dzieł nadesłanych, okazało się najlepszym jako praca literacka, rękopismo zatytułowane: *La femme libre*, a podpisane L. R. Autorem jest Leon Richer, redaktor dziennika *Droits des Femmes*, oraz założyciel stowarzyszenia, noszącego tensam tytuł, przecież mimo literackiej wartości dzieła kommissya konkursowa nie przyznała mu nagrody, z powodu zawartych w niem pojęć, które, zdaniem większej liczby członków kommissyi, były niemoralne i wnoszące rozkład w łono rodziny i społeczeństwa. Rozprawy były bardzo żywe i nawet gwałtowne, kopie dzieła zostały rozesłane do czytania wszystkim członkom komissyi, co bardzo rzecz przedłużało nie zmieniając skutku. Dumas głosował bardzo silnie za, Emil Ollivier przeciw dziełu Richer'a; Renan dawał również głos za nim, Legouvé był w pośrodku, przyczem jednak mówił wiele za równością obu płci i postępem kobiety w równouprawnieniu jej z mężczyzną pod wielu względami prawa cywilnego i stanu ekonomicznego. Ostatecznie Akademia odroczyła konkurs z powodu, że „część prac nadesłanych była pozbawiona wszelkiej wartości, te zaś, które ją posiadały, występowały poza programat konkursu i zmieniały jego założenie“.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się arkusz 2-gi powieści pod tyt.: *Róża wśród cierni*.

Wyszła z druku książka p. t.:

O WYCHOWANIU MACIERZYŃSKIM

PRZEZ

ZOFIĄ KOWERSKĄ

Dzieło premiowane na konkursie ogłoszonym przez Redakcyę „Bluszczu“

Tom w formacie duże 8-vo

Cena egzemplarza Rs. 2 kop. 25

Znajduje się do nabycia u Michała Glücksberga wydawcy w Warszawie, oraz we wszystkich księgarniach, tak w Warszawie, jak i na prowincyi

Dzieło to osobom, które je zaprenumerowały, obecnie się rozsyła.

Ogłoszenia do BLUSZCZU, przyjmuje wyłącznie kantor agenturowy BERNARDA BERSOHN w Warszawie przy ulicy Nowy-Swiat Nr 67.

TREŚĆ. W miejsce Pogawędki. — W lesie, (poezya). — Preludjum Szopena (Obrazek dramatyczny) przez M. Gawalewicza. — Sama jedna, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Obowiązek, ze Smiles'a, (dalszy ciąg), przez M. I. — Irlandya, Rys jej dziejów, (dalszy ciąg). — Kronika działalności kobiecej.

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 24 Юня 1881 года.

RÓŻA WŚRÓD CIERNI

POWIEŚĆ

przez autorkę „Stefana Lawrence“

przekład z angielskiego.

(Dalszy ciąg).

Znasz, żonę moją, Donaldzie. W owym czasie była smukłą dziewczynką. Nic w niej nie było szczególnie pięknego, ani szlachetnego, ale była zręczna i żywa, a może jej największym wdziękiem w moich oczach było przekonanie, że jej się podobałem. Wszyscy mężczyźni są mniej więcej miękkiego serca na wdzięki kobiece. — Floryna wiedziała, że byłem nieszczęśliwym w miłości, jakkolwiek nigdy nie mówiłem z nią o tem, nigdy nie zdradziłem przed nią imienia Eleonory, lecz byłem tyle słaby i niedorzeczny że lubiłem, kiedy starała się mnie pocieszać. Pamiętam jak raz mi powiedziała.

— Sir Rupercie, dziwi mnie że porzuciłeś tak piękne miejsce, jak Clydesdale? Czy stary pałac stoi pustką, tylko pod opieką służących?

— Nie — odparłem — mój kuzyn tam mieszka.

— Jakie imię ma pański kuzyn?

— Adryan.

— Lubię to imię — rzekła, lepiej nawet jak pańskie. Lubię dźwięk tego wyrazu: Adryan! Czy jest żonaty?

— Tak, mruknąłem krótko, a serce bolało mnie wymawiając ten suchy, prosty wyraz.

— Każdej pannie podobać się musi takie ładne imię, jak Adryan, takie nazwisko jak Clyde. — Chciałabym, abys mi pan powiedział coś o Anglii, o swoim domu i o wszystkim co pana dotyczy — dodała po chwili.

Spełniłem jej żądanie, a ona słuchała. Rozumiem teraz zakochanie się Otella w Desdemonie dla tego, że dobrze umiała słuchać. Godziny przedziej przechodziły, gdy je mogłem spędzić na opowiadaniu o domu. Floryna była bardzo cierpliwa. Zawsze pytała się o stary zamek, jak wygląda, jakie ma ogrody i pola, jak jest położony, i zawsze kończyła ze słodkim uśmiechem.

— Chciałabym zobaczyć kiedy Clydesdale... a ja nie raz odpowiadałem.

— Może je pani kiedy zobaczy...

Czasem mówiła mi o sobie; pod pewnym względem jej historia była też smutna. Ojciec jej umarł młodo, matka drugi raz za mąż wyszła. Ojczym nie lubił pasierbic i żądał aby nie chowały się w domu; zostały wysłane do wuja, majora Sabine, konsystującego w Indyach.

— Wiem że byliśmy tu przysłane aby dobrze wyjść za mąż — mówiła Floryna naiwnie. — Ciotka Sabine była uszczęśliwiona, że ma nas przy sobie, bo lubi wesołe życie i zabawy, równie jak swatanie. Powiedziała Klarze pierwszego dnia przybycia, że musi wyjść za sir Johna Leestone, i tak się też stało.

— Czy wybrała już kogo na męża dla pani? spytałem obojętnie, a ona spojrzała na mnie trochę nieśmiało i rzekła.

— Tak.

— Mam nadzieję, że ten ktoś podoba się pani — rzekłem.

— Jestto ktoś, którego kocham — odpowiedziała rumieniąc się.

Kiedy raz opisywałem jej polowanie i szlagawkę w Clydesdale i mówiłem jak lubię angielskie zabawy, rzekła mi.

— Mówisz mi pan o różnych rzeczach: o szkołach, domu, zabawach, pracy — czy to już zamyka całe życie pana?

— Tak, było to całe życie moje, zanim opuściłem Anglię — odparłem.

— I nic innego w niem nie było?... Nie było miłości? zapytała.

Donaldzie, jej słowa jak mieczem mnie przeszły. Czy nie było miłości? Nie, dla mnie nie było jej, bo ja tylko kochałem, ale nie byłem kochany. Spojrzałem w ładną twarz Floryny i rzekłem.

— Nie, nie było w życiu mem miłości.

Szepnęła coś niewyraźnie, lecz nie byłem dość ciekawy, aby się spytać, co mówiła?

Gdybym był miał więcej znajomości świata, i ludzi, byłbym zrozumiał całą grę, ale nie miałem żadnego podejrzenia. Miłość, ożenienie, były dalekie od moich myśli w ogóle, a to, że bym miał pokochać i zaślubić ładną Florynę, nigdy mi nie powstało w głowie. Gdybym był mędrszym, byłbym spostrzegł siłą zastawioną na siebie.

— Przebywałem nieustannie w towarzystwie Floryny; skoro tylko wchodziłem do domu majora spotykałem ją zaraz na progu. Gdy Sabinowie wychodzili, ona zostawała pod moją opieką, a na balach zatrzymywała dla mnie najlepsze tańce. W salonie wszyscy robili mi miejsce przy niej, a ja byłem tak ślepy, że nie rozumiałem znaczenia tego wszystkiego. Lady Leestone była gorszą od majorowej, ciągle mi mówiła o Florynie, opłatywała mnie w tak wyraźny sposób, że się sam dziwiłem własnej ślepcie. Radziła mi się o najmniejszy szczegół stroju Floryny.

— Pan masz tak wytworny gust, sir Rupercie — mówiła — decyduj pan za mnie.

A gdy objawiłem moje zdanie, mówiła każdemu.

— Sir Rupert osądził, że siostrze mojej najładniej w tem będzie.

Floryna prosiła mnie zawsze o wybranie sobie nut i książek, radziła się również co do wyboru przyjaciół, lub przyjaciółek. Słowem były to mądre kobiety, a ja naiwnym niewiniątkiem. Oprzedły mnie pajęczyną swych zabiegów, tak zręcznie, że nie mogłem się z niej wyplątać. Zbudziłem się spostrzegłszy, że wszyscy w mieście uważają mnie za przyszłego męża Floryny; nikt nie był więcej odemnie zadziwiony tą nowiną.

Jednego dnia, gdy ze dwanaście osób spytało mnie po kolei, kiedy będzie wesele? pomyślałem że wielki czas położyć temu koniec. Zwróciłem się wprost do majorowej, która jak zwykle rozjaśniła swą dobroduszną twarz na mój widok.

— Pragnę rozmówić się z panią w ważnym przedmiocie — rzekłem, a ona spojrzała mi śmiało w oczy. — Już też sir Rupercie, oczekiwałam na to od niejakiego czasu — odpowiedziała.

— Czy pani wie że w mieście żenią mnie z paną Floryną? spytałem.

— I ja myślę to samo — odparła. Po całym postępowaniu pana wnoszę, że masz pan ten zamiar.

— Panil... Sądzę, że nie dałem żadnego powodu do takich wniosków.

Zbliżyła żywo krzesło swoje do mego.

— Jeżeli nie myślałeś pan o ożenieniu się z Floryną, po co ją pan zwodziłeś, po co ją pan bałamuciał, po co jednym słowem kompromitowałeś ją sir Rupercie?

— Zaprzeczam abym coś podobnego zrobił — odrzekłem.

— Czyniłeś to jednak sir Rupercie. Cały czas spędzałeś z Floryną, kompletnie ją zagarnąłeś dla siebie. Pozwalał mi na to sądząc, że pana zamiary były uczciwe.

— Nie miałem zupełnie żadnych zamiarów...

— Tem więcej złego ze strony pana, sir Rupercie. Jeżeli nie miałeś żadnej myśli, jakże

mogłeś tak ustawicznie być obok młodej dziewczyny, zabierać jej każdą chwilę, którą mogła poświęcić towarzystwu, odsuwać od niej wszystkich wielbicieli i wreszcie rozbudzać w niej uczucie...

— Pani! wykrzyknąłem — mylisz się. Nie ośmieliłem się na nie podobnego...

— Przeciwnie, sir Rupercie! Dowód jest oczywisty, bo każdy pyta się, kiedy wesele? Ludzie nie mówiliby tak, bez powodu.

— Nie myślę się żenić nigdy... zawołałem.

— Serce Floryny pęknie chyba — odpowiedziała mi, załamując ręce. O! tak... wiem, że jej serce pęknie.

Gdy to mówiła, drzwi się otworzyły i weszła Floryna. Spojrzała na nas; majorowa była oburzona i czerwona jak burak, ja stałem smutny i blady.

— Co się tu dzieje, ciociu? spytała. — Co się dzieje sir Rupercie?

— Coś takiego, o czem nie pragniej usłyszeć, Floryno! zawołała majorowa gorzko. Coś takiego, czego nie każdy mężczyzna śmiałyby się dopuścić.

Floryna przyszła do mnie i położyła mi rękę na ramieniu.

— Jeżeli mówisz o sir Rupercie, ciociu, to się mylisz; jestem pewna że nigdy nie uczynił by nic, czegoby szlachetny mężczyzna nie chciałby głośno przyznać.

— Widzisz pan, jaką wiarę w pana ma ta dziewczyna — zawołała Sabinowa. Czy pan na to zasługuje?

— Zasługuje — oświadczyła Floryna, a choćby i nie zasługiwał, miałby ją zawsze z mej strony.

— Widzi pan! powtórzyła tryumfująco zręczna ciocia. Teraz powiedz sam, sir Rupercie, czyś pozyskał to młode serce, choćby mimowolnie? Tak, czy nie?

— Floryna zbladła i drżała.

— Ach ciociu, co mówisz — przerwała.

— Moja droga Floryno, to nie jest chwila do jakiegos fałszywego wstydu — rzekła żywo majorowa. Każdy się pyta, kiedy twoje wesele? bo ludzie widzieli uwielbienie sir Ruperta dla ciebie, a oto on, który cię tak nie odstępował, jakgdyby był twym cieniem, który pooddalał od ciebie wszystkich konkurentów, teraz rusza ramionami i powiada, że nigdy nie miał zamiaru żenienia się.

Floryna zbladła jeszcze bardziej.

— Nigdy nie myślał się żenić... mówiła dalej oburzona kobieta! Jeżeli tak, dla czego ci nadskakiwał, dla czego ci nie dał pokoju. Każdy musiał zauważyć jego obejście się z tobą, bo miał oczy i uszy tylko dla ciebie. Jeżeli cię nie kochał, dla czego tak postępował?

— Jestem pewna że tylko chciał być dobrym dla mnie — powiedziała Floryna cichutko, a wtedy ja zabrałem głos, zwracając się do majorowej: — Chciej się pani rozsądnie zastanowić. Przepełdzałem wiele czasu w towarzystwie siostrzenicy pani, ale nie miałem innego uczucia, jak najczystsza przyjaźń.

— Słyszysz go, Floryno! zawołała zapyrzona jejmość. Jakże spojrzymy teraz ludziom w oczy? Jesteś zgubioną w obec świata. Każdy mniema i słusznie, żeście już narzeczeni i każdy pomyśli, że sir Rupert ma powody do zerwania. Biedna Floryno, co powie Lady Leestone?

— Donaldzie, podczas całej tej sceny stała przed oczyma memi słodka twarz, którą widziałem raz ostatni pomiędzy liljowcami. Zapomniałem też prawie o Florynie, ale ta nagle zwróciła się ku mnie ze łzami w oczach.

— To nie prawda sir Rupercie? Wszak nie prawda? Nie myślałam o tem, co ludzie mówią, i nie myślę teraz jeszcze, abys mnie uczynił małżonką swoją, ale to nie prawda, że cię nie obchodzi. Troszkę mnie lubisz, wszak prawda?

— Byłaś dla mnie zawsze bardzo życzliwą p: Floryno — odrzekłem.

— I nie robiłeś sobie ze mnie igraszki... szepnęła.

— Żaden Clyde nie igrał nigdy z uczuciem kobiety, odrzekłem dumnie.

— Słyszysz ciotko? powiedziała żywo odwracając się do majorowej. Nie żartował ze mnie, ma dla mnie życzliwość, przyjaźń.

— Byłoby to okrutną rzeczą, sir Rupercie — rzekła majorowa — gdybyś tak odpłacił uczucia tej dziewczyny. To nie dość powiedzieć, żeś nie miał złych zamiarów. Można i zabić bez złych zamiarów. Floryna stanie się teraz przedmiotem najłoboszyjszych plotek i przypuszczeń. Oh! zabiłeś ją gorzej, niż gdybyś wsadził jej sztylet w pierś: zabiłeś młodą, niewinną dziewczynę na imieniu, na dobrej sławie... Powiedziawszy to zaczęła płakać, a za nią i Floryna, choć wciąż wołała:

— Ach! ciociu, ciociu, nie mów tak...

— Donaldzie! nie miło jest kreślić obraz własnej słabości, dość ci wiedzieć to tylko, że wśród łez: napadu z jednej, obrony z drugiej strony — uległem, i koniec był taki, że, jak głupi Don Kiszot, rzuciłem nieszczęsne słowo, które mnie związało z Floryną.

Sir Rupert zamknął oczy i kilka chwil upłynęło zanim ozwał się znowu:

— Byłem więcej jak nieszczęśliwy, Donaldzie, lecz dowodziłem sobie, że w każdym razie moje życie było już i poprzednio stracone. A skoro młoda, niewinna dziewczyna oddała mi serce, skoro mnie pokochała, czyż nie było mym obowiązkiem dać jej szczęście a choć trochę. Jej lzy, jej boleść i wreszcie niesława, czyż miały zaciężyć na mem sumieniu? Teraz inaczej się na to zapatruję, ale wtedy zdawało mi się to powinnością nieuniknioną. Teraz nie mogę pojąć jak ta myśl mogła powstać mi w głowie.

— Skoro tylko powiedziałem że chcę naprawić złe jakie wyrządziłem, siatka pajęcza intryg zacisnęła się jeszcze więcej. Nawet stary major uczciwy, był niechętny wciągnięty do spisku, i wszedł smutny, jak mi się zdawało.

— Tak więc, sir Rupercie, żenisz się z Floryną? rzekł. Bardzo jestem z tego kontent, choć nie myślałem nigdy żebyś był kandydatem do żeniactwa.

— Lady Leestone winała mi gorąco.

— Zaraz wiedziałam, że się to tak skończy, mówiła, zawsze widziałam, że sir Rupert zajęty jest Floryną.

— Donaldzie, nim dzień upłynął, znienawidziłem Florynę aż do imienia. „Żeni się z Floryną“ te wyrazy przesładowały mnie. Cóżbym był dał, aby móżdż odwołać słowo, dane w chwili słabości! Ale klamka już zapadła.

Majorowa wzięła na siebie urządzenie wszystkiego i przyspieszała dzień ślubu. Miałem zawrót głowy, gdy słyszałem ją, jak przed ślubem jeszcze nazywała Florynę „Lady Clyde.“ Myślałem o tej ukochanej, która mogła zostać Lady Clyde i sztydziłem z własnego losu. Zdawało się że u Sabinów zauważyli ten stan mego umysłu, bo przestali drażnić mnie. Często zostawiali mnie z Lady Leestone, a Floryna usunięta była na drugi plan. Jedyną rzeczą o jakiej Lady Leestone mówić lubiła było Clydesdale i rodowód Clydów. Byłem tem niesłychanie znudzony, przeklinałem słabość moją i pragnąłem co prędzej skończyć męczarnię, jakie cierpiełem w charakterze narzeczonego.

— Nadszedł dzień ślubu; zostałem mężem Floryny, pomimo że serce i sumienie wyrzucało mi mój postęp. Byłem dobrym dla żony i spełniałem każde jej życzenie, ale nigdy nie usiłowałem jej pokochać. Nadeszły z Anglii listy z powinnowaniem czule i serdeczne, które mnie zgnębiły do ostatka. Eleonora pisała swoim zwykłym: słodkim i miłym stylem, że ucieszyła się bardzo odebraną wiadomością, choć to dla nich było zupełną niespodzianką: — Nie wiesz jakim to jest szczęściem dla mnie, gdy pomyślę, że masz obok siebie kobietę kochaną i kochającą.

— Długo czas upłynął zanim się zdecydowałem odpowiedzieć na te wyrazy, które mnie raniły. Floryna postanowiła posłać do Anglii swoją fotografią wystawiając na próbę moje cierpliwość zapytania

mi, jak ma się ubrać, jak ułożyć włosy, jaką pozę przybrać, aby moja bratowa — tak nazywała Eleonorę — powzięła o niej dobre wyobrażenie. I ja sam byłem ciekawy, co o niej mogła pomyśleć Eleonora. Fotografia została posłana, a w właściwym czasie przyszła odpowiedź, pełna uprzejmych podziękowań. Adryanowie cieszyli się myślą, że nie za długo zapewne wrócę z żoną do Clydesdale. Dziękowałem niebu, że nie było żadnej konieczności zmuszającej mnie do tego, bo miłość moja i rozpacz tak się spotęgowały, że byłbym padł nieżywy u stóp Eleonory, ujrzawszy ją wtedy, kiedy ludzie nazywając mnie wesoło szczęśliwym małżonkiem, zazdrościli mi słodyczy miodowego miesiąca.

— Lecz Floryna zaczęła toczyć ze mną cichą walkę, która trwała aż do naszego rozstania. Pragnęła jechać do Clydesdale. Rano, w południe i wieczór mówiła mi o tem. Dla czego nie chcę zająć właściwego mi stanowiska? pytała z żalem. Nadaremnie odpowiadałem jej, że taki układ życia jest na teraz niemożliwym dla mnie. Lady Leestone wraz z majorową przyłączyły się do Floryny w perswazyach i naleganiach, aż życie stało mi się ciężarem. — Pytałem się sam siebie, czy nie byłbym zdolnym powrócić do Anglii, ale serce moje zawsze odpowiadało przecząco. Po ciężkiej walce z własnym sercem, rozmówiłem się z Floryną, zaufałem jej do pewnego stopnia, czego później żałowałem.

— Floryno, rzekłem, miałem ciężkie przejście w Anglii i trwoży mnie myśl powrotu do kraju.

— Cóż to było? spytała żywo.

— Nigdy opowiedzieć ci tego nie mogę — odrzekłem.

— Spojrzała na mnie z gniewem i powiedziała.

— Gdybym była wpierw o tem wiedziała, nigdybym była nie poszła za ciebie?

— Nie odpowiedziałem nic, Donaldzie, ale chętnie byłbym to samo uczynił. — Nigdy już potem nie byliśmy w zgodzie z Floryną. Gorzko żałowałem, że nawet tyle jej powiedziałem, sądząc, że mogę odwołać się do jej szlachetniejszego uczucia. Zapomniałem, że niektóre charaktery mają bardzo mało szlachetności w sobie. Floryna stała się grymasną i drażliwą, często mawiając.

— Nie spodziewałam się tego idąc za ciebie, myślałam że będę zajmować stanowisko należne Lady Clyde z Clydesdale.

Jednego dnia, gdy mnie już wyprowadziła z granic cierpliwości, rzekłem do niej szorstko.

— Floryno czy poszłaś za mąż z miłości dla mnie, czy dla tego że jestem sir Rupertem Clyde?

Spojrzała zimno na mnie i odrzekła.

— Możesz być pewny, że nigdybym za ciebie nie poszła, gdybyś nie był lordem i dziedzicem Clydesdale Towers.

Czułem że mówi prawdę. Byłem dla niej cierpliwym i uprzejmym, choć codziennie stawała się grymasniejszą, drażliwszą, nudniejszą. Jednego wieczoru, gdy Sabinowie byli u nas na obiedzie, obsypała mnie wymówkami a nawet zniewagami z powodu kwestyi podróży do Anglii. Gdy się obie z ciotką oddaliły, major spojrzał na mnie z uwielbieniem i litością.

— Nie pochwalam ci Rupercie, rzekł, ale posiadasz rycerskość Bayarda a cierpliwość Hioba. Kto byłby pomyślał, że ładna Floryna stanie się taką jedzą? Przechodzę do przekonania, że ładne kobiety są zrazu ładnymi srokami, lecz potem zamieniają się w jaszczurki.

Byłem cierpliwym dla Floryny głównie dla tego, że Lady Leestone odkryła mi pewien sekret tłumaczący jej nerwowość.

— Jest tak młoda, delikatna i cierpi — mówiła siostra mej żony, wieszając zawczasu syna. Czy przecież wiesz, Donaldzie, że zmartwiłem się słysząc to? Byłbym wołał żeby Adryan po mnie dziedziczył. — Stało się przecież wedle przepowiedni. Zbudzono mnie raz wśród nocy, a przebywałem wtedy w obozie, kazano na gwałt jechać do Lahory i majorowa podała białą poduszkę z płaczącą w niej dzieciątkiem.

— Spadkobierca Clydów na Clydesdale, rzekła wesoło, choć razem poważnie, a ja pocałowałem małą główkę, westchnąłem do Boga prosząc, aby syn mój miał szczęśliwsze życie odemnie. — Poszedłem do Floryny, objęła mnie za szyję i rzekła.

— Teraz mnie zawieziesz do Anglii, do Clydesdale, czy nie prawda, Rupercie? dla dziecka, jeżeli nie dla mnie.

— Nie miałem serca zaprzeczyć, szepnąłem że pomyślę o tem dla dziecka. Zaczynałem powoli pojmować, że będę zmuszony w końcu uleść.

W następujących tygodniach Lady Leestone i majorowa nie wychodziły prawie z mego domu. Jednego popołudnia było nadzwyczajnie gorąco, powróciłem z musztry do domu bardzo zmęczony. Położyłem się na ławce drewnianej, ocienionej przez pnące rośliny. Nie wiedziałem że okna pokoju mej żony były otwarte a tem mniej pamiętałem, że ona tam się znajduje. Zasnąłem; i przebudzony zostałem śmiechem kobiecym. Śniłem — ach jak często ten sen powracał — o pięknej, słodkiej twarzy między liljowcami. Wesołe śmiechy przypominały mi że jestem w Indjach i że Eleonora na zawsze dla mnie stracona. Z razu tylko śmiech słyszałem, potem odezwał się głos Lady Leestone.

— Był to *un tour de force*, ciociu ten twój pyszny szturm. Nie posadzałam cię o tyle sprytu.

— Kochana Klaro, odrzekła Sabinowa tryumfując — pochlebiam sobie że umiem postępować z mężczyznami. Zaraz z początku powiedziałam wam, że Floryna musi wyjść za sir Ruperta, bo jest łatwym do złapania, i dopięłam tego na mój sposób. Muszę przyznać, że się bardzo opierał.

— Tak — rzekła Lady Leestone — nie był poehopny do uczynienia Floryny lady Clyde. Ach! ciociu co to za stanowisko, jaki majątek! Słyszałam zawsze, że diamenty Clydów liczą się do pierwszych nie tylko w Anglii, ale w Europie. Słuchaj Floryno, nie powinnaś być tak słabą... Ja w twojem miejscu nie poddałabym się tak męzowi. To niesprawiedliwość i wstyd, że siedzisz tu, w Indjach...

— Podług mnie — ozwała się majorowa. — Sir Rupert byłby nieznosnym, gdyby nie jego majątek. Jest tak melancholijny jakby miał morderstwo na sumieniu. Nie rozumiem jak ty to znosisz Floryno?

Wtedy usłyszałem cienki, grymasny, niezadowolony głosik mej żony.

— Nie wiem też, czy mój los jest godny zazdrości. Ani majątek, ani brylanty na nie wiele się przydadzą, bo wątpię, aby kiedy chciał wrócić do Anglii, jest tam z pewnością jakaś tajemnica.

— Wygląda jak człowiek z nieczystym sumieniem — mówiła dalej Sabinowa. Ciekawam, co on popełnił? morderstwo, czy oszustwo, jakie?

— Ach ciociu! zawołała Lady Leestone z oburzeniem — co też wymyślasz! Pamiętaj że mówisz o sir Rupercie Clyde!

— Cóż ztąd moja droga? różne rzeczy dzieją się na świecie — odparła Majorowa. — Wiem że ten człowiek nie ma żadnych kłopotów majątkowych, coż by mogło mu ciążyć na sercu, jeśli nie jakiś wielki grzech?

— Mógł być nieszczęśliwy w miłości, zauważyła Lady Leestone.

— Nigdy się nie kochał wprzód, nim mnie poznał — rzekła prędko Floryna, a dwie panie rozśmiały się niedowierzająco.

— Nie dbam tak o to, jak wam się zdaje — ciągnęła dalej Floryna. — Czy mnie kocha, czy nie? nie jest dla mnie największą rzeczą, wiem tylko ciociu, żeś ty popchnęła mnie do tego małżeństwa. Byłabym daleko szczęśliwszą, zostawszy żoną Karola Archer... Ten mnie kocha; ale ciocia nie dawała mi pokoju i usłuchałam.

— Moja droga Floryno — odparła majorowa — działałam dla twego dobra. Nie było lepszej partji w całych angielskich Indjach nad sir Ruperta Clyde.

— Ani też nieprzyjemniejszego mruka — dodała Floryna. Nie byłam rozkochaną, kiedy kazałaś mi iść za niego, ale gdyby był przyjemny, jak inni ludzie, możebym go i pokochała. Lecz tak,

jak jest, niecierpię go. Niechce jechać do Anglii i ma zawsze w sercu jakiś smutek.

— Niecierpię go, powtórzyła — zazdroszczę każdej kobiecie, która ma miłego, wesołego męża.

— Musisz się do niego wziąć inaczej — rzekła Lady Leestone. Żaden mąż nie powinien się rządzić własną wolą.

— Nie mogę sobie z nim poradzić, nie jest podobnym do innych mężczyzn, myśli jego zawsze zdają się być gdzieś daleko. Gdyby mi pozwolił zawieść synka do Clydesdale, byłabym zupełnie szczęśliwą.

Wtedy Donaldzie, zrozumiałem moje położenie i pamiętam jak uczulem się nieszczęśliwym. Ożeniłem się dla tego tylko, aby odwrócić od Floryny nieszczęście, które mi zatruwało życie i oto poznałem nagle prawdę: ta lalka bez serca chciała tylko mego majątku i stanowiska.

Nadaremnie więc zakulem się w kajdany.

Od tej chwili nieszczęście moje nie miało granic, gdyby nie obowiązki służby, które się wtedy właśnie zwiększyły, nie wiem co by się ze mną stało?

W tym czasie Major Sabine został odkomenderowany ze swoim oddziałem do Indji zachodnich. Umarł tam wkrótce, i dodam też w krótkości, aby z tem skończyć, że wdowa wyszła niedługo potem za kanadyjskiego kupca, i stosunek jej z siostrzenicami męża został zupełnie zerwany.

Wtedy z wielką dla mnie uciechą ty się pojawiałeś w Lahorze; widząc jak jestem chory i nieszczęśliwy, proponowałeś mi podróż do Ameryki. Był wielki hałas w domu, gdy pierwszy raz o tem wspomniałem; Floryna dostała spazmów, ale Lady Leestone ułożyła rzeczy. Chłopiec, któremu matka dała imię Alfred, na pamiątkę jakiegoś członka swej rodziny, nie był jeszcze dość zdrow, aby znieść podróż do Anglii. Lady Leestone proponowała więc, że Floryna z małym pojada z nią w góry na jakiś czas, kiedy ja, dostawszy urlop, udam się z tobą w podróż.

— Byłeś ze mną, Donaldzie, kiedy się z nimi żegnałem. Lady Leestone wydawała się smutniejszą od Floryny, która, jak sądzię, była rada pozbyć się mnie na czas jakiś. Powiedziałem że zapewne powrócę za rok, za dwa może i wtedy już zawiozę ją do Anglii. Floryna rzekła.

— Przystaję na to, bo muszę. Ale proszę cię wracać, bo chcę raz zamieszkać w Clydesdale — mam do tego prawo.

— Nikt pewno nie wyruszał w drogę z bardziej rozdartem sercem, ale to wszystko się teraz skończy. Mam przecucie, że moja febra, która zabiła tylu biedaków, którym ciasno było w ojczyźnie, zabierze i mnie...

Z ciężkiem westchnieniem chory zamknął oczy, wycieńczony bolesnemi wspomnieniami.

ROZDZIAŁ II.

Donald Rancorn, miał nienasyconą żądzę podróży i wszelkie środki do zadowolenia swej namiętności. Nie miał żadnych domowych obowiązków, żadnej rodziny, posiadał znaczny majątek i wszelką wolność działania. Po kilku latach pracy i badań naukowych, został wezwany przez rząd do poszukiwań geograficznych. Pojechał do Indji w nadziei odkrycia jednego z pogrzebanych miast i tam zawarł przyjaźń z Rupertem Clyde. Do tego czasu ludzkość obchodziła go mniej, niż ziemia po której podróżował. Miał setki znajomych, ale żadnego przyjaciela, aż póki nie ujrzał sir Ruperta, z którym serdeczny stosunek został zawarty od pierwszego wejrzenia.

Gdy Donald przybył do Lahory, sir Rupert zaprosił go do siebie, choć Floryna nie lubiła go bardzo. Piastował często małego Fredzia i godzinami słuchał skarg Lady Leestone. Wkrótce spostrzegł że życie jego przyjaciela było okropne: grymasna i zawsze niezadowolona żona, czyniła

je nieznosnym. Sir Rupert powiedział mu jednego dnia.

— Gdybym mógł wyjechać na rok lub dwa, aż póki nie będę silniejszy — słaby jestem fizycznie, gdybym mógł oddalić się z tej atmosfery, która mnie zabija, przenieść się w inną: spokojną i cichą, gdybym zmienił powietrze i otoczenie, wyzdrowiałbym z czasem.

Właśnie nazajutrz przyszedł list od rządu, ofiarujący Donaldowi Rancorn naczelnictwo wyprawy naukowej, mającej na celu zwiedzenie pewnej części środkowej Ameryki. W drodze miał spotkać innych członków wyprawy. Zaproponował sir Rupertowi aby mu towarzyszył, na co ten z chęcią przystał.

Dwaj przyjaciele mieli przyjemną podróż, a sir Rupertowi bardzo posłużyło morskie powietrze. Ale gdy przybyli na ląd, zdrowie jego znowu się pogorszyło. Parę tygodni dwaj przyjaciele podróżowali bardzo pięknym krajem, nareszcie przybyli w okolicę lesistą, którą Donald się rozkoszował, to jest do przedudnych lasów Camargo. Jeszcze trzy tygodnie brakowało do chwili, w której mieli spotkać towarzyszy wyprawy i Donald zaproponował, aby je przepędzić w tem miejscu. Znaleźli wśród ogromnego lasu polankę, na której stały dwie drewniane chatki; Donald podał myśl aby je zająć, na co sir Rupert najchętniej przystał. W Camargo zgodzili służącego murzyna i zaopatrzyli się w rozmaite zapasy. Chaty zostały wygodnie urządzone i przez kilka dni życie było rozkoszne. Murzyn Gambo był bardzo roztropny i pracowity. Polowali, łowili ryby i zachwycali się pięknnością widoków, aż nagle sir Rupert zachorował na żółtą febrę. Z początku stan jego nie wzbudzał obawy, ale gorączka się wzmogła i Donald posłał Gamba do Camargo po doktora. Znalazł się jakiś młody adept sztuki medycznej, który zgodził się udać na polankę.

— Ma żółtą febrę, musi umierać — były jego pierwsze słowa... Dam mu chinę, ale obawiam się czy choroba nie zaszła już za daleko?

Chiną nie nie pomogła, sir Rupert miał się coraz gorzej. Doktor przybył jeszcze kilka razy, nareszcie jednego poranku, gdy chory zdawał się spać, a raczej drzemać nieprzytomnie, rzekł do Donalda.

— Już pięć razy byłem tutaj, moje rady, nie nie pomagają i chory nie przeżyje dwóch dni.

Sir Rupert snadź usłyszał, bo otworzył oczy.

— Czy pan sądzisz, że nie może być inaczej? zapytał przeleknionego Eskulapa.

— Tak, lecz gdybym był wiedział, żeś pan przytomny, nie byłbym mówił tak głośno — odparł.

— To nic nieszkodzi — rzekł spokojnie sir Rupert. — Dziękuję Bogu za tę wiadomość, bo jestem zmęczony życiem.

Doktor go pożegnał, unosząc w sercu litość, że taki piękny i elegancki gentleman umiera wśród lasów na zabójczą gorączkę.

Wtedy sir Rupert zawołał swego wiernego przyjaciela.

— Muszę pisać do domu — powiedział; — do Floryny i do Clydesdale. Postarasz się Donaldzie, aby listy zostały wysłane.

I zaszło co wiemy; listy zostały napisane, zapieczętowane, ale nie wyprawione do Camargo, bo w sercu wiernego przyjaciela tliła się jeszcze iskra nadziei. — Rupert delikatny jest i zmęczony bolesnemi próbami życia — mówił sobie — ale posiada jeszcze dość sił żywotnych, aby zwyciężyć chorobę. I dla tego listy zostały starannie schowane; Donald postanowił nie wyprawiać ich do Anglii, aż wtedy, gdy śmierć zamknie już na zawsze oczy lorda Clyde, który przecież nie wątpił, że nadejdzie to wkrótce. Czekając ostatniej godziny, rzekł do przyjaciela.

— Pochowasz mnie pod drzewami, Donaldzie. Gdy się wszystko skończy, udasz się, w dalszą podróż stary druhu, i choć wiem, że teraz cierpisz, czas załagodzi twój żal po mnie. Jednak za powrotem do Anglii zobacz tych, których kocham i powiedz im, jak umierałem z myślą o nich, i o rodzinnych mych stronach.

— Jeżeli miłość pociąga za sobą takie skutki — pomyślał Donald, patrząc na szkielet człowieka niegdyś tak silnego — to bardzo rad jestem, że jej nie znam i mam nadzieję niepoznać nigdy.

Nagle chory spojrzał na niego.

— Byliśmy szczerymi przyjaciółmi, Donaldzie rzekł — byłeś dla mnie dobrym i cierpliwym. Czy chcesz przyjąć odemnie ten zegarek z łańcuszkiem i nosić go na moją pamiątkę? Na palcu mam brylantowy pierścionek, weź go dla siebie. W trzosie jest sporo złota, zrób z niem co chcesz, szkoda żeby to poszło ze mną do grobu.

Gdy oddawał przyjacielowi te przedmioty, spostrzegł chciwą twarz Gamby, patrzącego na nich uważnie.

— Strzeż się tego człowieka, Donaldzie — rzekł — nie lubię jego wejrzenia.

Ale Donald nie uważał na przestrogę przyjaciela. Sir Rupert tymczasem zaczął znowu mącić.

— Umieram, Donaldzie — szeptał — wkrótce będę miał spokój. — Powiedzieliśmy im w liście, że umarłem o zachodzie słońca. — Ach najdroższa, zobaczę cię znowu w niebie! — Donaldzie, woda płynie — taka chłodna, czysta, szeroka — płynie po ciemnych omszałych kamieniach, taka zimna i życiodajna!

Z temi słowy głowa jego schyliła się na ramię towarzysza i gdy długo, długo pozostała nieruchomą, Donald powiedział sobie.

— Nie żyje! Słońce jeszcze nie zaszło, a on umarł! — Podniósł bladą twarz, ale nie było na niej okrutnych śladów śmierci.

Sir Rupert wpadł w spokojny sen, jakiego już nie miał od kilku tygodni.

Gdybym mógł znaleźć biegłego doktora, to możeby jeszcze życie jego mogło być uratowane — pomyślał Donald.

Wstał i zawołał Gamby.

— Zostań tu, dopóki nie wrócę — rzekł. — Gdyby mój przyjaciel się obudził i potrzebował czego, daj mu wody. Pamiętaj, zimnej wody, nie innego. — Gambo zajął w milczeniu miejsce, a Donald przygotował się na długą podróż piechotą.

Żadne przecucie niebezpieczeństwa nie ostrzegło go, nie wiedział jak czarne, złowroge oblicze wykręcało się za nim, uważając na każdy ruch jego; nie wiedział nic o szatańskiej chciwości i żądzy złota w sercu człowieka, który myślał mu życie odebrać.

Donald się pochylił i pocałował głowę sir Ruperta.

— Przyniosę ze sobą uzdrawiającą moc — rzekł. — Śpij spokojnie.

Nie myślał nigdy, że to będą ostatnie jego słowa.

Wziął szeroki kapelusz i gwizdnął na psa, ale zwierzę nie poszło za nim i wyruszył sam. Szedł spiesźnie, niewiedząc, że murzyn cicho przekrada się za nim: stając, gdy on stanął, idąc, gdy szedł — nie myślał że cień śmierci już się nad nim rozciąga. Zatrzymał się na rozstajnych drogach, niepewny którą wybrać.

Nagle cisza została przerwana wystrzałem z fuzji i w tej chwili Donald Rancorn padł nieżywy, ugodzony w serce, twarzą na ziemię, a krew lała mu się z ran gwałtownie.

W parę chwil później, murzyn z szatańską radością, pochylił się nad nim, spiesźnie zabierając zegarek z łańcuszkiem i trzos z pieniędzmi.

.....

Przez długie tygodnie i miesiące szukano śladów wielkiego podróżnika. Towarzysze, z którymi miał się połączyć, czekali napróżno w oznaczonym mieście. Rząd robił poszukiwania, ludzie wszystkich cywilizowanych narodów zajmowali się tą sprawą, ale nie słysząc nie było o Donaldzie Rancorn, aż kiedyś szkielet znaleziony został w gęstych krzakach. Po długich i cierpliwych badaniach, doszli do przekonania że te szczątki należały do sławnego podróżnika. Przypuszczano że został zamordowany, ale nikt nie przypuszczał, aby to zrobił dla rabunku jego własny sługa. W parafjalnym kościele małego rodzinnego

miasteczka pomnik mu wzniesiono. Mordercy nikt nie znał, ani poszukiwał, zbrodnia uszła bezkarnie i tylko Bóg miał kiedyś zapytać nędznego murzyna, co zrobił z bliźnim swoim, z którym dzielił chleb i dach?

Sir Rupert obudzony padającą rosą, znalazł się sam, zdrowszy, bo długi, orzeźwiający sen wrócił mu siły życia. Dziwił się leżąc, gdzie mógł być Donald i służący? Wołał głośno, ale żaden głos mu nie odpowiedział; pies tylko, faworyt Donalda, przyszedł do niego. Obok, stała czarka z wodą, z której pił często i długo. Usiłował zachołgać się do chatki i tam się położyć; byłby umarł z głodu i pragnienia, gdyby nie doktor.

Chociaż bowiem żegnając się z nim zapowiedział że żyć nie może, uczuł jednak, że mu się nie godzi zostawiać chorego bez ratunku. Człowiek był niezły sercem, choć szorstki i mało okrzęsany; pomyślał też jak przykro musi być Donaldowi widzieć przyjaciela gasnącego bez żadnych środków lekarskich i pomocy wśród dzikiej, bezludnej puszczy. Mógł mu w każdym razie pomódz do pochowania towarzysza.

Wczesnym porankiem przyszedł więc na polankę. Głębokie, ponure milczenie panowało wokoło, przerwało je tylko szczekanie psa. Gdy doszedł do dwóch samotnych chat, spostrzegł, że jedna była pusta, a w drugiej znajdował się tylko chory śpiący na macie. Sir Rupert w tej chwili otworzył oczy i ujrzał szorstką, ogorzałą twarz doktora, uśmiechnął się z jego zaskoczenia.

— Widzisz doktorze, jeszcze nie umarłem — rzekł słabym głosem.

— I już nie lękaj się pan śmierci — odrzekł doktor. — Widocznie wczoraj przypadało przesilenie i spokojny sen pokrzepił siły: Gdzież jednak znajduje się przyjaciel pański?

— Nie umiem ci powiedzieć doktorze, od wczoraj go nie ma.

— Mój czarny sługa znikł także, jestem sam zupełnie.

— Gdzie myślisz sir, że poszli? — zapytał doktor.

— Nie mam o tem żadnego pojęcia. Czulem się już bardzo chorym i myślałem prawdziwie, że umrę o zachodzie słońca. Donald pomógł mi pisać listy i wysłuchał moich zwierzeń, które miałem za ostatnie. Pamiętam teraz, że dałem mu zegarek na pamiątkę, jak również i złoto, które posiadałem. Potem zasnąłem z głową na jego ramieniu i musiałem spać kilka godzin. Obudziwszy się, znalazłem się sam; Donald i sługa odeszli.

— To dziwna rzecz — szepnął doktor zamyślony.

— Może sądzą że umarłem i opuścili cię.

Sir Rupert wstrząsnął głową.

— Donald — nie byłby mnie tak zostawił nawet trupem; powróci, chyba że go spotkało jakie nieszczęście. Może być, że widząc mnie uspiołym poszedł z murzynem do Camargo, aby co przynieść do domu.

— Cieszy mnie że pan tak ufasz ludzkiemu sercu, ja nie jestem tak łatwowierny. Mówisz pan że miał twój zegarek i złoto?

— Nie chcę słuchać takich przypuszczeń! — zawołał sir Rupert; doktor podniósł rękę.

— Nie wzruszaj się pan — rzekł. — Nie powiem nic więcej. My Anglicy jesteście wszyscy jednakowi. Nikt z nas nie może przypuścić nic złego o tych, których kochamy. W każdym razie pozostanę tu do wieczora, a jeśli pański towarzysz nie przyjdzie, pójdę go poszukać.

Doktor rozpalil ogień, urządził wygodniej posłanie Ruperta, przygotował mu ze znalezionych zapasów wzmacniający napój, który go znów wprowadził w głęboki sen i pomógł do wyzdrowienia.

Po południu doktor poszedł do Camargo. Był to sceptyk, i nie ufał ludzkiemu uczuciom; nabrał więc przekonania, że Donald zabrawszy pieniądze i klejnoty śpiesznie uszedł z niemi. Co do czarnego sługi, nigdy nie wierzył murzynom.

Zapewne myśląc że pan nie żyje, porwał co mógł i uciekł. Przeszukawszy las napróżno, doktor utwierdził się w swoich domysłach. Powrócił więc na polankę.

— Nie chcę nic mówić przeciw pańskiemu przyjacielowi — począł — ale obawiam się, czy moje podejrzenia się nie sprawdzą?

— Co pan myślisz? — rzekł sir Rupert.

— To co mówię. Jest oczywiście, że opuszczono pana.

— Nie wierzę temu — odparł sir Rupert.

— Bardzo dobrze. Nie mam prawa mieszania się do cudzych spraw, ale...

— Doktorze — przerwał Rupert — wejdź do tamtej chaty. Mój przyjaciel miał papiery warte dla niego więcej, niż złoto. Miał mapy i notatki nieocenionej wartości, rezultat długich prac i podróży kilkoletnich; wiem że je cenił więcej niżeli życie. Jeżeli tego nie ma, uwierzę że uszedł odemnie. Idź, zobacz.

— To będzie najlepszym świadectwem — odrzekł doktor.

— W chacie znalazł jednak wszystko, co było własnością Donalda. Jego rzeczy i książki, oraz papiery; z tych jedne były starannie w kufrze zapakowane, inne tworzyły stos na stoliku. Jedne były pożółkłe ze starości, na innych ledwo atrament zaszchł. Przeglądając je znalazł w osobnej szufladzie dwa listy, zaadresowane już do Anglii i pugilares z pieniędzmi, na co niespokojnie pokręcił głową. — To źle — rzekł. — Musiał Donald pójść do Camargo i spotkało go w drodze coś nie dobrego. Ale to odważny podróżnik i silny człowiek, nie da się zjeść w kaszy i pewno usłyszymy o nim wkrótce.

Tymczasem wziął listy do kieszeni, aby je oddać na pocztę, pugilares zaś wręczył sir Rupertowi, o którym trzeba mu było myśleć teraz. W Camargo znalazł Anglika, który zgodził się być sługą i opiekunem chorego, którego on sam codziennie odwiedzał, nie ustając w poszukiwaniach Donalda.

Po paru tygodniach sir Rupert był w stanie przenieść się do Camargo. Na usilne prośby doktora zamieszkał u niego; tam powoli odzyskał zdrowie i siły. O żonie i dziecku w dalekich Indiach ledwo wspominał niekiedy, nie spiesząc mu było dawać im znać o sobie.

Postanowił sobie nie wprawierw powrócić do Anglii i ujrzeć wszystkich swoich, póki nie odszuka utraconego przyjaciela albo przynajmniej jego śladów.

Ale dużo czasu upłynęło zanim odzyskał zdrowie i siły potrzebne do tego zadania. Potem ułożył papiery Donalda i odesłał je do Anglii z opisem jego zniknięcia, a wreszcie wziął się do poszukiwań. Wszystkie jednak starania były daremne i po kilku miesiącach musiał ich zaprzestać.

Trzeba mu było teraz wracać do Indyi, ale nieszczęście go prześladowało. Okręt na którym płynął uległ zniszczeniu i musiał czekać długo w porcie mało uczęszczanym na drugi statek. Dalsza podróż nudna była i burzliwa a wylądowawszy znowu zachorował, i gdy dostał się do Lahory, nie zastał już żony, która odpłynęła do Anglii wraz z Lady Leestone.

Sir Rupert zabawiwszy parę tygodni w Lahorze, postanowił wrócić do domu. Czynił to bez nadziei szczęścia, bo nie tęsknił do kobiety o której wiedział że go nie kocha. Więcej jeszcze bał się zobaczyć tę twarz ukochaną, której myślał nigdy już nie oglądać. Temu głównie trzeba przypisać, że podróż jego była tak powolną, a on nie dający nikomu znać o sobie, był jakgdyby zagubionym dla świata.

ROZDZIAŁ III.

Na krańcach prowincji Lahory, pośród bujnej zieloności, stał ładny pałacyk sir Johna Leestone w którym teraz mieszkaly obie siostry. Sir John nie był mającym człowiekiem, ale zawsze mógł wybudować sobie ładny dom i urządził go wygodnie. Była to rozkoszna siedziba wśród wielkich magnolijowych drzew, których białe kwiaty napelniały zapachem powietrze, otaczały ją przytem wysmukłe palmy, chwiejące się pod lekkim podmuchem wiatru.

Wysmukłe filary werendy okalającej dom, odkryte były zielonemi liśćmi i pasowemi kwiatami. Drzwi szklane w koło wychodziły na werendę i dozwalały widzieć wnętrze pokoi.

W jednych drzwiach właśnie stała wysoka kobieta, nakazującej postawy, ubrana w popielate jedwabie z pasowym kwiatem w ciemnych włosach. Była piękna i majestatyczna, ciemne włosy były po prostu splecione i zwinięte w węzeł. Miała twarz ściągłą, ciemne brwi, dumne usta, wysmukłą figurę, i piękną białą rękę, której palce obciążały polyskujące pierścienie. Przy niej bawił się spadkobierca Clydów, maly Alfredzio, ładny, jasnowłosy chłopczyk, mający około dwóch lat, który swym początkującym szczebiotem zadawał najpoważniejsze pytania.

W głębi pokoju, na kanapie, spoczywała młoda kobieta, o białej omdlewającej twarzy, byłaby ładną, gdyby wyraz kapryśnego niezadowolenia nie psuł harmonii jej rysów.

W strojnej muslinowej sukni, ozdobionej bogatemi koronkami przerabianemi srebrem, poruszała niedbale kosztownym wachlarzem, a bukiet rzadkich kwiatów leżał obok niej.

— Jakże nieznośnie gorąco, Klaro! — wyrzekła z grymasem ust ściągnięciem. — Nie mogę już znieść tego.

— Musisz znieść — odparła Lady Leestone. — Nie gorzej tobie, jak innym.

— Daleko gorzej. Nie jestem silna, mało jest osób delikatniejszych odemnie.

— Jesz dobrze, a tańczysz jeszcze lepiej — odparła starsza siostra, a Floryna, która lubila sprzeczki, rozplakała się.

— Jesteś tak niedobrá dla mnie, Klaro, nie masz serca! — mówiła z płaczem.

— Byłabym nieszczęśliwą mając tak wiele serca, jak ty, Floryno, bo wiecznie rozptylasz się we łzach.

Milczenie zapanowało na chwilę, dziecko zbliżyło się do matki starając się pocieszyć ją pocałunkami.

— Przestańże płakać Floryno — zawołała Lady Leestone. Niewyczerpanem jest u ciebie źródło łez! Oto idzie posłaniec z listami.

— Żaden list nie przyniesie mi pociechy — rzekła Lady Clyde. — Możesz je za mnie przeczytać. Jedyny list zajmujący dla mnie, byłby ten, któryby mnie wzywał do Clydesdale. Zmęczona jestem tem wschodniem gorącem; uprzykrzyło mi się patrzeć na same czarne twarze.

— Moja droga Floryno, obawiam się abyś kiedyś nie miała prawdziwego powodu do narzekania, bo teraz na lada co się skarżysz.

— Nie mnie nie spotka gorszego nad mój obecny los — odparła Floryna — ciągle to gorąco, oduurzający zapach magnolji, którego niecierpię — i mąż oddalony o tysiąc mil.

— Przecież go nie kochasz — zauważyła Lady Leestone.

(Dalszy ciąg nastąpi)